

Mark Twain.

HUMORESKI.

Przełożył

A. GRUSZECKI.

TOM DRUGI.

WARSZAWA

Wydawnictwo Dziel Tanich A. Wiślickiego.

—
1880.

78963

klócek



Дозволено Цензурою,
Варшава, 7 Октября 1879 года.

339348

51

W Drukarni Przeg. Tygodniowego, ulica Czysta № 2.

9/37/2012 10

Mowa przy uczcie.

Miana przy uroczystym obchodzie Amerykanów
w Londynie w dniu 4 lipca.

„Przewodniczący! Moje Panie i Panowie!

Dziękując za zaszczyt, którego od Was obecnie doznałem, nie chcę nadużywać waszej dobroci i krótko rzecz przedstawię. Jest nam miłym i przyjemnym obchodzić w tak pokojowy sposób na ziemi macierzystej naszej ojczyzny, rocznicę tej chwili, która spowodowała wojnę długoletnią zamienioną w tryumf dzięki usiłowaniom naszych przodków. Prawie sto lat potrzeba było, by Anglicy i Amerykanie dzięki obustronnym korzyściom doszli do zgody, która dziś, mojem zdaniem, istnieje.

Było to olbrzymim postępem, że oba ostatnie nieporozumienia rozstrzygnięto sądem polubownym a nie wojną. Drugim nie mniej ważnym postępem jest uznanie Anglii doskonałości naszych maszyn do szycia, nie zabierając nam — jak to się zwykle dzieje — zasłużonej nam sławy. Nowym postępem jest wprowadzenie naszych wagonów do spania na kolejach żelaznych. I z głębi serca się cieszyłem, gdy m

Marek Twain. Humoreski. II.

wczoraj spostrzegł, iż czystej krwi anglik z własnej ochoty kazał sobie podać Sherry-cobbler — co więcej przypomniał garsonowi, by dodał poziomek. Wspólne pochodzenie, wspólna literatura, wspólna religia — i wspólne napoje, cóż tedy brakuje do umocnienia węzłów braterskich tych dwu narodów?

Żyjemy w wieku postępu, a mianowicie kraj nasz jest krajem postępu. Jest to ojczyzna wielka i sławna — ojczyzna Washington'a, Franklina, Williama M. Tweed'a, Longfellow'a, Metley'a, Jay Gould'a, Samuela C. Pomeroy'a, ostatniego kongresu, który — (pod pewnymi względami) — nie miał sobie nigdy nic równego, który też w przeciągu ośmiu miesięcy armią Stanów Zjednoczonych, zwyciężył sześćdziesięciu indyanów, czyniąc ich raczej niezdolnymi do boju ze zmęczenia — aniżeli sprawiając między nimi niecywilizowaną rzeź. Mamy system sądów przysięgłych w sprawach kryminalnych, najdoskonalszy na świecie; cała trudność polega tylko na tem, by znaleźć codziennie dwunastu mężów, którzy nic nie umieją, nie wiedzą i nie czytają. Pozwalam sobie zrobić tę uwagę, że u nas istnieje takie uwzględnienie szalonych, że mogłoby Kaina uwolnić. Sądzę, że wolno mi powiedzieć i mówić to z dumą, że mamy takie prawodawstwo doskonałe jak tylko możliwym jest na świecie.

Zachwycony wskazuję na nasz system kolei żelaznej, który zostawia nas przy życiu, chociażby mógł pozbawić go nas. System ten zniszczył przez spotkanie się pociągów w zeszłym roku życie tylko trzem tysiącom siedmdziesięciu ludziom, a przy krzyżowa-

niu się dróg przejechał tylko dwadzieścia siedm tysięcy dwieście sześćdziesiąt nieuważnych i zbytecznych na świecie ludzi. Towarzystwa szczerze żałowały tych trzydziestu tysięcy ludzi, a nawet zdecydowały się za niektórych zapłacić cokolwiek — naturalnie że dobrowolnie, gdyż każdy z nas wie o tem doskonale, iż nie ma sądu, któryby był na tyle zdradliwym wydać wyrok przeciwko towarzystwom kolejowym. Lecz dzięki Bogu nasze towarzystwa są w ogóle skłonne dobrowolnie iść za głosem sprawiedliwości i słuszności. Znany mi jest jeden przykład, który mię swego czasu wzruszył do głębi. Po jednym z nieszczęśliwych wypadków, towarzystwo przesłało mi szczątki mego najdroższego krewnego w koszyku z karteczką: „Upraszamy o zawiadomienie nas, jaką on wartość miał dla pana — a proszę koszyk odesłać”. Czyż można uprzejmiej postąpić?

Lecz nie mogę przecież cały wieczór tu stać i sławić nasze cnoty narodowe. Ale darujcie mi, że w dniu czwartego lipca chwalam naszą ojczyznę, w dniu takim niechaj buja orzeł. Chcę wreszcie dodać kilka słów pochwalnych. A mianowicie: Posiadamy taką formę rządu, która dla każdego jest dobrą i nikogo nie wyszczególnia. Nikt się u nas nie rodzi z przywilejem pogardzania lub poniżania swych bliźnich. Niechaj się tem pocieszą ci, co się nie urodzili książętami. A nadzieją przyszłości niechaj będzie ten fakt, że jakkolwiek nieszczęsnym jest stan naszej polityki, to nie zapominajmy, iż Anglia podniosła się z bardziej jeszcze lichego stanu, poczynawszy od czasów, gdy Karol I podnosił do szlachectwa podte

kobiety, a każdy urząd zdobywał się przekupstwem i frymarką. Istotnie, miejmy nadzieję lepszej przyszłości.

Otóż taką mowę, *chciałem* wypowiedzieć; lecz poseł nasz, generał Schenk, prezydował, po modlitwie powstał i miał niezmiernie długą, niezmiernie nudną i usypiającą przemowę, którą zakończył słowami, że gdy mowy, jak się zdaje, nudzą uczestników uczty, więc żadnej dalszej tego wieczoru nie będzie, lecz każdemu wolno rozmawiać z swym sąsiadem prywatnie. Jest to wiadomą rzeczą, że skutkiem tych słów zmarło w łonie matki dwadzieścia cztery mów. Ponury smutek zapanował na uczcie i długo on pozostanie w pamięci uczestników. Tą jedną bezmyślną uwagą stracił generał Schenk dwudziestu czterech najlepszych swych przyjaciół w Anglii. I nie jeden zamruczał tego wieczora: „Otóż takiego to człowieka przysłano tutaj, by nas zastępował w wielkiem państwie siostrzannem”.

O pokojówkach.

Niniejszem rzucam klątwę kawalerską na wszystkie pokojówki, bez różnicy wieku i narodowości!

Przyczyny:

Zawsze kładą poduszki naprzeciw światła gazowego, tak że czytając i paląc przed usnięciem —

a jest to starodawnym i bardzo cennym zwyczajem kawalerskim — musimy książkę niewygodnic w górze trzymać, by zasłonić się od bijącego światła.

Gdy na drugi dzień spostrzegą, że poduszki leżą po przeciwnej stronie łóżka, to nie zważają na ten znak przyjazny i milczący, lecz bezpożytecznie i bez litości nad naszą nieudolnością w tej sprawie znów układają pierwotnie poduszki i w skrytości cieszą się naszym gniewem i cierpieniem, wywołanem ich tyranią.

Ile razy spostrzegą przełożone poduszki z umyślnie niszczą naszą pracę i tym sposobem zatruwają nam dane od Boga życie.

Gdy nie mogą nam światło wprost w oczy postawić, to przesuwiają łóżko, aby tylko przykrość nam zrobić.

Postawimy nasz kuferek sześć cali od ściany, by przy otwarciu wieko się oparło, to zawsze przysuną do ściany. Robią to z umysłu.

Postawimy spluwaczkę na dogodnym dla nas miejscu, nigdy się na to nie zgodzą i przenoszą gdzie indziej.

Drugą parę naszych bucików kładą w najniegodniejsze kąty. Prawdziwą radość im sprawia wsuwać je pod nasze łóżko od ściany. Czynią to, by nas zmusić do niemilej pozycji, w ciemnościach szukać je wyzuwaczem i słyszeć nas klnących.

Zawsze pudełko zapałek kładą w innem miejscu, a na poprzednim stawiają flaszkę lub inne łatwo tłuczące się przedmioty. Postępują tak byśmy stłu-

kli i zniszczyli szklanę lub co innego szukając zapalek w ciemności.

Zawsze i wiecznie zmieniają porządek mebli. Przyjdziemy późno w noc, to możemy być pewni, że znajdziemy biurko tam, gdzie rano stała szafa. A gdy rano wyjdziemy i zostawimy fotel przy oknie a umywalkę przy drzwiach, to możemy być pewni, że potkniemy się o fotel przy drzwiach a usiądziemy na umywalkę przy oknie. To jest rzeczą niemiłą — dla nich przyjemną.

Cokolwiekbyś postawimy, nigdy nie zostawią na miejscu. Przy pierwszej lepszej sposobności położą gdzieindziej. Taką już mają naturę. A przytem sprawia im to przyjemność irytować drugich. Raczej by umarły, aniżeli zmieniły tryb swego postępowania.

Kawałki rzuconego papieru zbierają starannie i układają na stoliku, zaś naszymi manuskryptami podpalają w piecu. Chcielibyśmy się pozbyć jakiego wstrętnego, starego, zatłuszczonego papieru i rzucamy go na ziemię — one zawsze położą go starannie na tem samym miejscu. Ich to cieszy.

A zużywają sześć razy tyle olejków, co mężczyźni. Obwinimy ich o zabieranie naszego, wypierają się w żywe oczy. Co im wierność? Absolutnie nie.

Zostawimy dla naszej wygody klucz we drzwiach, to zanoszą go do garsona. Czynią to pod udanym pozorem chronienia naszej własności przed złodziejami; lecz istotnie w zamiarze, by zmusić nas, gdy zmuszeni do domu przyjdziemy, drapać się znów po schodach — lub też kazać sobie przynieść klucz garsonowi, który wówczas dostać musi na piwo i pra-

wdopodobnie dzielą się tym zarobkiem te niecne istoty.

Nieustannie chcą ślać łóżko, nim wstaniemy, a tem samem nie pozwalają nam użyć przyjemnego snu porannego; lecz gdyśmy wstali, nie ujrzysz ich aż dopiero dnia następnego.

W ogóle popełniają grubiaństwa jakie im tylko na myśl przyjdą i sprawiają nam nieprzyjemności z czystej tylko złośliwości a z żadnej innej przyczyny.

Pokojówki są nieczułe na wszelkie ludzkie uczucia. Jeślibym mógł przeprowadzić mój wniosek w jakim ciele prawodawczem, na mocy którego pokojówki przestałyby istnieć, zamierzam to uczynić.

Dzieje kapitołińskiej Venus.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

(Scena przedstawia pracownię artysty rzeźbiarza w Rzymie.)

„Drogi Jerzy, ja cię tak kocham!”

„Bóg z tobą, droga Maryo, jestem o tem przekonany, lecz czemuż twój ojciec jest tak srogi i nieubłagany?”

„Jerzy, on sądzi podług siebie, dla niego sztuka jest zbyt białą rzeczą i tylko towary mają u niego istotną wartość; sądzi, że wraz ze sztuką mogłabym z tobą umrzeć z głodu”.

„Są to przeklęte zasady! czemuż nie jestem raczej handlarzem bez sumienia zbierającym grosze, lecz natchnionym rzeźbiarzem, nie mającym nawet kawałka chleba.”

„Nie trać odwagi, drogi Jerzy, wszystkie jego uprzedzenia ku tobie znikną, skoro ty te pięćdziesiąt tysięcy dolarów....

„Pięćdziesiąt tysięcy dyabłów! Czy wiesz, ja nie płaciłem jeszcze komornego”.

ROZDZIAŁ DRUGI.

(Rzecz dzieje się w mieszkaniu w Rzymie.)

„Ależ łaskawy panie, sędzę, iż dalsza rozmowa co do tej kwestyi jest zbyteczną. Nie mam nic przeciwko panu. Lecz z tem wszystkiem nie mogę mej córki wydać za hołysza, choćby z miłości, tembardziej, że oprócz sztuki i nędzy nic innego pan jej ofiarować nie jesteś w stanie.”

„Panie, jestem ubogi, wyznaję otwarcie; lecz czyż sława jest niczem? Wszak nasz znakomity Bellamy Foodle z Arkanzas utrzymuje, iż ostatni mój posąg, przedstawiający Amerykę, jest arcydziełem nowożytnego rzeźbiarstwa, mogącem zapisać moje imię na karcie rozgłosu i sławy w przyszłości”.

„Głupstwo, mój panie! Czy ten bałwan z Arkanzas zna się na czemśkolwiek podobnem? Sława jest niczem, a cena i wartość pańskich marmurowych produktów jest bardzo chwiejną i niestałą. Całe pół roku pracy musis pan poświęcić na wytworzenie jednego arcydzieła sztuki, za które w re-

zultacie otrzymasz sto dolarów. Nie, mój panie, pokaż mi pan pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a wtedy uwierzę i oddam mu rękę mej córki, — inaczej wyjdzie za młodego Simpera. Zostawiam panu pół roku czasu do zebrania tej sumy — a teraz do widzenia!”

„Biada mi! jestem zgubiony!”

ROZDZIAŁ TRZECI.

(W atelier artysty.)

„Ah Janie, przyjacielu mej młodości, jestem najnieszczęśliwszym z ludzi!”

„Jesteś niedołągą!”

„Z wszystkiego, co ukochałem, pozostała mi tylko jedyna statua, a jednak — patrz — i ona nie okazuje mi żadnego współczucia, jej chłodna marmurowa postać tak piękna, a tak bez serca!”

„Jesteś głupcem!”

„Janie !...”

„Głupstwo i nic więcej. Wszakże wspominałeś, iż pozostawiono ci pół roku czasu dla zebrania tej kwoty!

„Janie! porzuć twe szyderstwa, widząc mnie w takiej rozpacz i zwątpieniu. Gdybym nawet miał sześć wieków czasu, czyżbym mógł z nich skorzystać? Cóż ja nieszczęśliwy mogę począć bez imienia, majątku i przyjaciół?”

„Pół roku czasu dla zebrania pieniędzy! — pięć miesięcy wystarczy nam w zupełności.”

„Człowieku, nie jesteś chyba przy zdrowych zmysłach!”

„Pół roku czasu! ależ to aż nadto! Pozwól mi działać, a zabiegi moje zostaną uwiecznione pomyślnym skutkiem”.

„Janie, czyś ty się nad tem zastanowił? Jakimże możliwym sposobem myślisz zebrać tak olbrzymią kwotę?”

„Czy zaufasz mi zupełnie i powierysz mi przebieg tej sprawy, nie mieszając się do niczego? Czy pozostawisz mi zupełnie wolną wolę? Czy przyzniesz mi, że zastosujesz się całkiem do tego, co zrobię? A przedewszystkiem, czy dasz mi przyrzeczenie, iż zostawiasz mi zupełną wolność działania?”

„Czy to sen, czy jawa? — niewiem, ale przysięgam, że ci będę posłusznym!”

Jan ujął młotek i z całą ostrożnością pozbawił „Amerykę” nosa. Po raz drugi podniósł go do góry i dwa palce posągu opadły na ziemię. Trzecie uderzenie pozbawiło statwę połowy ucha — ten sam los spotkał większą część palców u nóg posągu, ostatnie wreszcie uderzenie pozbawiło go nogi, pochławszy od kolana, zamieniając go w kupę gruzów.

Skończywszy to dzieło zniszczenia, włożył z flegmą kapelusz na głowę i wyszedł.

Jerzy przez całe trzydzieści sekund stał osłupiały przed smutnymi szczątkami posągu, mającego teraz postać skończonego straszdyła, wreszcie upadł omaladła na ziemię. Wkrótce powrócił Jan, najawszy pojazd, włożył weń swego przyjaciela, któremu za-

dał tak głęboką ranę w serce, wraz ze statwą, noszącą świeże ślady zniszczenia i z flegmą, nucącą pod nosem piosenkę, ruszył w drogę. Stanąwszy przed swem mieszkaniem, umieścił tam swego przyjaciela, poczem wraz z posągiem puścił się w dalszą podróż i wkrótce zniknął na drodze Kwirynalskiej.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

(W pracowni artysty.)

„Dziś o drugiej godzinie upływa pół roku! Ach, cóż to za męki! Życie moje złamane. Pragnąłbym raczej umrzeć. Wczoraj wieczorem nie jadłem kolacyi. Dziś rano nie jadłem śniadania. Nie śmiem już wejść do żadnej restauracyi. Czy jestem głodny? — nie wspominajmy o tem! Mój szewc męczy mnie nieustannie — krawiec mi dokucza, — gospodarz napastuje. Jestem nieszczęśliwy! Jana nie widziałem więcej od tego okropnego dnia. Ona się zawsze czule do mnie uśmiecha, gdy się przypadkiem spotkamy na ulicy, lecz jej stary ojciec bez serca nakazuje jej grubiaństwo spojrzeć w inną stronę.... Któż tam u licha puka do drzwi? któż mnie znów nachodzi? Pewno ten niegodziwy chłopak od szewca. Proszę wejść”.

„Oby szczęście i błogosławieństwo Boże towarzyszyły zawsze Jaśnie wielmożnemu panu! Oby Niebo zsyłało na niego promienie swej łaski! Przywiozłem oto Jaśnie Łaskawemu panu buty, tylko błagam, nie wspominaj pan o zapłacie! Tu niema nic nagłego.

Dumnym będę, jeśli będę się mógł poszczycić łaską i protekcją Wielmożnego pana, — polecam się jego wysokiej pamięci!”

„On sam przynosi mi buty! Nie żąda zapłaty! Wychodzi i żegna mnie ukłonem, z którego nawet Jego Wysokość byłby całkiem zadowolony! Pragnie mojej dalszej protekcji!... Czy to koniec świata ma wkrótce nastąpić? Z tem wszystkim.....”

„Proszę wejść!”

„Signore łaskawie wybaczyć raczy, lecz przyniosłem nowy zamówiony garnitur....”

„Proszę!”

„Po tysiakkroć przepraszam Wielmożnego pana iż osmielam się naruszać jego spokojność! Lecz właśnie wynająłem prześliczne mieszkanie dla łaskawego pana, nie wypada bowiem, aby w tak nędznej izbie Wielmożny....”

„Proszę!”

„Przychodzę, aby oznajmić łaskawemu panu, iż kredyt pański, który w ostatnich czasach uległ pewnej stagnacji, całkowicie, a nawet w nader zadawalniającym stanie znowu przywrócony został, i my z naszej strony będziemy się czuć wielce szczęśliwi i obowiązani, jeśli łaskawy pan zechce nas nadal w każdym czasie zaszczycać....”

„Proszę!”

„Szlachetny młodzieńcze! ona jest twoją! Za chwilę tu przyjdzie! Weź ją — ożeń się — kochaj ją — bądź szczęśliwy! Niech Bóg was błogoławi!...”

„Proszę!”

„O Jerzy, mój jedyny, ukochany Jerzy, jesteście uratowani!”

„O Maryo! jedyna moja ukochana Maryo, jesteście uratowani, lecz na Boga przysięgam ci, iż nie a nie nie rozumiem!”

ROZDZIAŁ PIĄTY.

(W rzymskiej kawiarni.)

Jeden z pośrodku grupy siedzących amerykańców czyta i tłumaczy artykuł z dziennika „*Il Slanguanger di Roma*” jak następuje:

„Cudowne odkrycie! Przed pół rokiem Signor John Smithe, Amerykanin, zamieszkały od roku w Rzymie, zakupił w Kampanii nieznaczny kawałek ziemi, położony w bliskości pomnika rodziny Scypionów od obecnego właściciela, zrujnowanego krewnego rodziny książęcej Vorghese. Pan Smithe udał się następnie do ministerjum spraw wewnętrznych, gdzie nabyty kawałek ziemi przekazał na własność pewnego biednego amerykańskiego artysty, imieniem Jerzy Arnold, dodając, iż tym sposobem pragnie wynagrodzić panu Arnoldowi niektóre straty pieniężne, jakich tenże doznał z jego winy, będąc przed laty właścicielem małego majątku; wreszcie zeznał, iż celem zupełnego zrealizowania panu Arnoldowi powyższych strat, pragnie wyżej wspomniany kawałek ziemi uprawić własnym kosztem. Przed czterema tygodniami, podczas dokonywania na owym gruncie rozmaitych koniecznych pracopów, Signor Smithe

odkrył godną uwagi starożytną statwę, należącą niegdyś do rządu kosztownych skarbów sztuki starożytnego Rzymu. Była to wspaniała postać kobiety, a chociaż pokryta plamami błota i powleczonea pleśnią wieków, niepodobna było jednakże spoglądać na nią bez podziwienia i wewnętrznego zachwytu. Brakowało jej wprawdzie nosa, lewej nogi począwszy od kolana, ucha, kilku palców u prawej nogi a także u obydwóch rąk, reszta jednakże zachowała się jak najlepiej. Rząd nasz w drodze urzędowej objął w posiadanie statwę, oraz wyznaczył komisję, złożoną ze znawców sztuki — archeologów i kardynałów kościoła, celem zbadania wartości znalezionej rzeźby, oraz oznaczenia szacunku, który należy wypłacić właścicielowi majątku, gdzie ten skarb się znajdował. Całe to zdarzenie było do dnia wczorajszego okryte najściślejszą tajemnicą. Tymczasem komisya siedziała przy drzwiach zamkniętych i naradzała się między sobą. Wczoraj wieczorem rozstrzygnięto jednogłośnie, iż statua ta przedstawia Venus, dłuta nieznanego, lecz genialnego mistrza i pochodzi z trzeciego wieku przed Chrystusem. Nadto, komisya uznaje statwę, jako dzieło bez zarzutu, jedyne, jakie dotąd świat oglądał”.

„Okolo północy odbyto ostatnie posiedzenie i urządzono, iż Venus ta przedstawia wartość *dziesięciu milionów franków*. Ponieważ jednak podług prawa i przywilejów rzymskich rząd staje się właścicielem połowy wartości zabytków sztuki, wykopanych w Kampanii, pozostaje zatem wypłacić panu Arnoldowi pięć milionów, aby stać się całkowitym właścicielem pięk-

nej statuy. Dziś zrana Venus zostaje przeniesioną do Kapitolu, gdzie stale pozostanie, w południe zaś komisya złoży panu Arnoldowi przekaz pieniężny Jego Świątobliwości Papieża do skarbu państwa na sumę pięciu milionów franków w złocie”.

Chór głosów: Otóż to szczęście! Szczęście niepraktykowane!

Pewien głos: Panowie! podnoszę projekt, aby natychmiast tutaj założyć amerykańskie towarzystwo akcyjne dla zakupywania dóbr, w którychby były dokonywane poszukiwania archeologiczne, towarzystwo, mające w New-Yorku odpowiednie stowarzyszenie, mogące zniżać lub podwyższać kurs akcji.

Wszyscy: Przyjmujemy!

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

(*W Kapitole rzymskim.*)

„Kochana Maryo! oto jest najślawniejsza statua na świecie. Jest to właśnie ta wspaniała kapitolńska Venus, o której już tyle słyszałaś. Stoi ona przed tobą wraz z temi drobnymi niedokładnościami, które dopełniali, a raczej łatali najślawniejsi rzymscy rzeźbiarze i tak drobny fakt, jakim jest zdolność przyzwoitego połatania tego szlachetnego utworu, uwieczni ich imiona i uwieczny na zawsze aureolą sławy. Jakże dziwnem wydaje mi się to miejsce. W przeddzień tej chwili kiedy stałem tutaj przed dziesięciu szczęśliwymi latami, nie mógłem się nazwać bogatym, — Boże miłosierny, nie miałem wte-

dy szeląga przy duszy. Ileż to mnie jednak pracy kosztowało, zanim Rzym stał się właścicielem tego wspaniałego, starożytnego dzieła sztuki, jaki się na świecie znajduje”.

„Ta uwielbiona, sławna kapitolńska Venus — jakże wysoko ją oceniono! Dziesięć milionów franków!”

„Tak — jest to jej wartość *obecna*...

Jednakże — ach, drogi mój Jerzy, jakże ona jest cudownie piękną!”

„Prawda, — ale wszystko to jest niczem w porównaniu z jej dawną postacią, zanim nasz kochany John Smith nie utracił jej nogi i nie pozbawił jej nosa. Przemyślny — genialny i szlachetny Smith! On zbudował nasze szczęście!... Lecz czy słyszysz to rżenie w piersiach? Ta mała istotka cierpi kolikusz. Czyż nigdy się nie nauczysz troskliwszego pielęgnowania dzieci?”

ZAKOŃCZENIE.

Venus kapitolńska znajduje się po dziś dzień w Kapitolu w Rzymie i jest dotąd najbardziej zachwycającym i najświetniejszym zabytkiem starożytnej rzeźby, jakim się do tej chwili świat mógł poszczycić! Lecz czytelnicy! gdybyście kiedykolwiek mieli szczęście stanąć przed jej obliczem i na jej widok wpadli w zwykły zachwyt, nie zamącajcie tej błogiej chwili wspomnieniem tych prawdziwych i tajemnych dziejów jej pochodzenia; za to znówu gdybyście wyczytali o skamieniałym olbrzymie, wykopanym w Syrakuzach, w Stanie New York, lub innej miejscowo-

ści, zachowajcie wasze wiadomości dla siebie; a gdyby ten, co pogrzebał, zechciał go sprzedać, nałóżwszy poprzednio na ów skarb olbrzymią sumę, nie kupujcież na Boga! Odesłajcie tego człowieka do papieża.

Mój zegarek.

Bardzo pouczająca mała powiastka.

Mój ładny, nowy zegarek szedł prawie pół roku, nie spiesząc się i nie opóźniając, nie zatrzymywał się nigdy, jak również nie było przypadku, aby jakakolwiek część jego mechanizmu uległa zepsuciu. Wreszcie przyszedłem do tego przekonania, iż jego wskazówki, dotyczące się czasu i godziny, uważałem za nieomyślne, jak również zdawało mi się, iż ustrój jego ciała jakoteż budowa jego kości są wiecznotrwałe. Nagle pewnego wieczoru zegarek mój nieokręcony stanął. Wypadek ten mocno mnie zasmucił, uważałem to jako nieomyślną przepowiednię bliskiego nieszczęścia. Lecz zwołna złowróżbne uczucie minęło, nakręciłem zegarek na chybił trafił i starałem się oddalić od siebie wszelkie przecucia i obawy.

Na drugi dzień wstąpiłem do sklepu najpierwszego zegarmistrza dla dokładnego zregulowania mego zegarka. Właściciel zakładu wziął go do ręki, chcąc

go zregulować. Poczem rzekł: „Spóźnia się o cztery minuty — trzeba posunąć regulator”.

Pragnąłem go powstrzymać, starałem się mu dowieść, iż zegarek chodzi jak najdokładniej. Lecz napróżno, ta kapuściana głowa w ludzkiej postaci nie widziała nic więcej nad to, iż zegarek spóźnia się cztery minuty, oraz że trzeba posunąć regulator, w skutek czego powoli i okrutnie dokonał swego dzieła, podczas gdy trwożliwie kręciłem się koło niego, błagając o pozostawienie zegarka w spokoju.

Mój zegarek zaczął się spieszyć, z każdym dniem spieszył się coraz więcej. W pierwszym tygodniu zapadł na silną febrę i puls jego podniósł się do stu pięćdziesięciu uderzeń w cieniu. Po upływie dwóch miesięcy pozostawił daleko za sobą wszystkie czasomierze miejskie, a datę kalendarza wyprzedził o całe trzynaście dni. Wszedł już w epokę listopadową, oczekując śniegu, gdy tymczasem październikowe liście szumiały jeszcze pod wpływem jesiennego wiatru. Nadto przybliżał datę opłaty komornego, rachunków rocznych i tym podobnych rzeczy w nader szybki, zajmujący sposób, i z tego powodu nie mogłem na niego spokojnie spojrzeć.

Zaniósłem go do zegarmistrza w celu dokładnego zregulowania. Tenże zapytał mnie, czy go kiedykolwiek nie dawałem do naprawy. Zaprzeczyłem temu — nie, nigdy nie potrzebował naprawy. Złośliwy wyraz zadowolenia błysnął w jego żenicach, otworzył pospiesznie zegarek, i przyłożywszy szkło do oka, począł się przyglądać mechanizmowi.

Odpowiedział mi, iż zegarek należy wyczyścić, napuścić oliwą, a wreszcie zregulować — za tydzień mogę się zgłosić po niego. Po wyczyszczeniu, napuśczeniu oliwą i zregulowaniu zegarek mój szedł tak wolno, iż tykanie jego można było porównać z uderzeniem wahadła zegarów wieżowych. Począłem się spóźniać na pociągi kolei żelaznej, na wszelkie zebrania, wreszcie na obiad; zegarek mój przedłużał ostatnie trzy dni zwłoki do czterech, w skutek czego protestowano moje weksle; zwolna począłem się cofać do dnia wczorajszego, następnie do przedwczorajszego, potem do ubiegłego tygodnia, tak iż wreszcie opanowało mnie przekonanie, iż ja tylko sam jeden pozostaję w zeszłym tygodniu, a cały świat straciłem już z oczu. Zdawało mi się, iż podzielam w sobie uczucie przyjacielskie wraz z mumią w muzeum, oraz że uczuwam chęć dowiedzenia się od nich czegoś nowego. Udałem się znów do zegarmistrza.

Podczas gdy z niecierpliwością oczekiwałem odpowiedzi, rozebrał zegarek, poczem rzekł: iż cylinder jest nieco „obluzowany”. Upewnił mnie wszakże, iż w przeciągu trzech dni zdoła go przyprowadzić do dawnego stanu. Po ukończonej nowej reparacji zegarek szedł „przećiętnie” dobrze; lecz niestety to słowo jest zbyt elastyczne. Przez pół dnia chodził, jak uosobiona ludzka złośliwość i wpadał w taki chaos szczekania, sapania, kichania, parskania i chrapania, iż w tym chaosie sam siebie z trudnością usłyszeć mogłem, i w całym kraju nie było zegaru, który w tym względzie mógłby choć w czę-

ści wyrównać mojemu. Lecz za to w drugiej połowie dnia spóźniał się znowu, trwoniąc tyle czasu, iż miejskie zegary, które przedtem wyprzedził, doganiały go niebawem. I tak po upływie 24-ch godzin znajdował się znowu w właściwym czasie i na właściwym miejscu. Przeciętnie wskazywał czas dokładnie, i można było o nim powiedzieć tylko tyle, iż mniej więcej spełnia swoje obowiązki.

Lecz z tem wszystkiem wskazywanie przeciętnego czasu jest rozpaczliwą cnotą zegarka. Na tej podstawie zaniósłem go do innego zegarmistrza. Ten mi oświadczył, iż sprężyna jest złamana. Pospieszyłem okazać mu żywe zadowolenie, iż nie zaszło nic gorszego. Chociaż, wyznawszy szczerą prawdę, nie miałem pojęcia o tem, co jest sprężyna, nie chciałem jednakże przed obcym człowiekiem zdradzać mej nieświadomości. Naprawił sprężynę, lecz niestety, jeżeli zegarek zyskał coś pod pewnym względem, z drugiej strony stracił bardzo wiele. Przez chwilę szedł dobrze, poczem jednak zatrzymywał się, po chwili znów zaczął iść i znów się zatrzymał, chwile zaś spoczynku zależały w zupełności od jego upodobania. Każdą chwilę swej pracy rozpoczynał pchnięciem, podobnem do pchnięcia muszkietu po wystrzale. Przez kilka dni watawałem sobie piersi, w końcu jednakże zaniósłem zegarek znów do innego zegarmistrza. Ten rozerwał go na drobne kawałki, długo oglądał pod szkłem to szczytki, wreszcie zdecydował, iż szedelko nie jest całkiem w porządku. Naprawił go, nadawszy zegarkowi nowy chód. Teraz szedł całkiem dobrze, wyjąwszy, iż co każde

dziesięć minut wskazówki zamykały się na wzór nożyce i tak zwarte ruszały w dalszą drogę. Najstarszy człowiek w świecie nie mógłby oznaczyć za pomocą podobnego zegarka ani dnia, ani godziny swego życia, i znów oddałem zegarek do naprawy, aby raz wreszcie przyprowadzić go do właściwego stanu.

Osobnik, do którego się udałem, oświadczył mi iż kryształ jest skrzywiony, a łańcuszek się zwinął. Obok tego zdawało mu się, iż brakuje połowy mechanizmu. Dopełnił wreszcie wszystkie niedokładności, i mój czasomierz począł iść bez zarzutu, wyjąwszy, iż od czasu do czasu po upływie ośmiu godzin, przebytych dość spokojnie, całe jego wnętrze począło chrzęścić i brzęczeć, jak pszczoła, a wskazówki zostały wprawiane w tak szybki ruch wirowy, iż można było zwatpić o ich pojedynczości, przyczem nabierały podobieństwa do kołowrotka, kręcącego się po cyferblacie. Wskazały następne dwadzieścia cztery godzin w przeciągu sześciu lub siedmiu minut, poczem zatrzymywały się z ogromnym hukiem.

Ze ściśnionem sercem raz jeszcze się udałem do pewnego zegarmistrza i spoglądałem na rozebrany mój zegarek. Poczem przysposabiałem się w duchu do ostrej z zegarmistrzem rozprawy, gdyż rzeczy począły przybierać groźną postać. Zegarek kosztował mnie dwieście dolarów, zaś około dwóch czy trzech tysięcy jego naprawa. Podczas tego oczekiwania poznałem w osobie zegarmistrza swego dawnego znajomego, byłego maszynistę na statku parowym, który nie odznaczał się wysokimi zdolnościami-

mi. Obejrzawszy troskliwie wszystkie części zegarka, podobnie jak postępowali inni zegarmistrze, wydał z taką samą ufnością w siebie następujący wyrok:

„Wydaje zbyt wiele pary — musisz pan śrubsztak zawiesić na klapie bezpieczeństwa”.

Rozbiłem mu na miejscu czaszkę i kazałem porzucić na mój koszt.

Mój wuj, Wilhelm (niestety już nieboszczyk) zwykł był mawiać, iż dobry koń pozostaje dopóty dobrym koniem, dopóki nie zostanie zajeżdżony, a dobry zegarek pozostaje tak długo dobrym zegarkiem, dopóki nie wpadnie w ręce zegarmistrzów. Przytem pytał zawsze ze zdziwieniem, czemu by być mogli wszyscy kotlarze, puszkarze, szewcy i kowale, którym interesa źle idą; lecz tego pytania nikt mu rozwiązać nie zdołał.

Uprasza się o wiadomość.

Waszyngton, d. 10 grudnia 1867 r.

„Nie mógłbyś mnie pan udzielić wiadomości o wyspie, którą rząd nabyć pragnie, lub też jest w zamiarze nabycia?”

Jest to mój wuj, który pragnie się o tem dowiedzieć, człowiek bardzo pilny i zamożny, który stara się sposobem uczciwym i przyzwoitym zarobić na chleb powszedni, przedewszystkiem jednak ceni spo-

kój. Pragnie się gdziekolwiekbądź osiedlić, aby prowadzić życie ciche, niczem niezakłócone. Przebywał czas jakiś na nowej wyspie Św. Tomasza, chociaż utrzymują, iż daje się tam uczuć brak wszelkiego porządku. Jeździł już przedtem na ową wyspę w towarzystwie attaché państwa, którego posłano z pieniędzmi w celu zapłacenia wartości tej wyspy.

Mój wuj złożył swe pieniądze wraz z rządowemi do jednej szkatuły; gdy jednak udali się na pokład, aby otrzymać stósowne pokwitowanie, majtkowie odbili szkatułę i wyjęli z niej wszystkie pieniądze.

Powróciwszy do kraju, wuj postarał się o inne pieniądze i z niemi udał się napowrót. Wtedy to zapadł na febrę. Jak wam zapewne wiadomo, istnieje tam siedm gatunków febry. A ponieważ krew wuja silnie była wzburzona w skutek bezsenności, ogólnego niepokoju, oraz wycieńczenia ducha, nie udało mu się wyleczyć z pierwszej febry, lecz w taki sam sposób wpadał w sześć innych. Nie należy on do liczby ludzi, którzyby żywili szczególną sympatyę do febry, wszakże, jako człowiek dobrze myślący i postępujący zawsze według własnych przekonań, bolał mocno nad tem, iż okoliczności składały się w taki sposób, jakoby cała ta sprawa miała się zakończyć śmiercią. Wreszcie wyszedł cało z tych przeciwności, wyzdrowiał i założył sobie fermę; ogroził ją, lecz wkrótce nadciągnął olbrzymi huragan, zerwał większą część ogrodzenia i zaniósł aż do Gibraltaru, lub też może w inne jakie sąsiednie okolice. Wuj z właściwą sobie cierpliwością utrzy-

mywał tylko, iż ogrodzenie znikło, nie zadawał sobie jednak tej pracy, aby zbadać, dokąd je losy poniosły, chociaż podług jego mniemania, miał je pochłoniąć Gibraltar.

Potem założył sobie fermę na samym szczycie góry, aby nie stać, jak utrzymywał, na drodze, jeśliby morze zechciało kiedykolwiek wystąpić ze swych brzegów. Była to dobra góra i lepsza jeszcze ferma, lecz niestety, cóż z tego? Następnej zaraz nocy powstało silne trzęsienie ziemi, i wszystkie wyniosłości zamieniło w zwaliska. Naturalnie, wszystkie majątności przedstawiały tylko stosy gruzów i pomięszwały się w tak dziwny sposób, iż wuj mój, nie chcąc udawać się do sądów, nie mógł z pewnością twierdzić, które mianowicie gruzy składają jego własność; zwracać się zaś do sądów—tego byłby za nic w świecie nie zrobił, ponieważ udając się na wyspę Św. Tomasza postanowił sobie prowadzić jak najspokojniejsze życie. Wszystkie swoje pragnienia i chęci ograniczał do tego, aby się osiedlić i prowadzić życie w ciągłym spokoju. Zważywszy powoli wszystkie te okoliczności i zastanowiwszy się należycie, wpadł na myśl, aby poszukać schronienia w głębi stałego lądu, tembardziej, iż pragnął założyć cegielnię. Zakupił przeto płaski kawałek ziemi i złożył na nim tymczasowo dla wysuszenia sto tysięcy cegieł, chcąc je potem wypalić. Lecz fortuna i tutaj nie okazała mu się przychylną: powstał w tem miejscu olbrzymi wulkan, który wyniósł jego cegielnię na dwa tysiące stóp wgórę.

To go wreszcie okropnie rozgniewało; był przekonany, iż cegły na górze doskonale już wyschły, ale ich nie mógł sprowadzić na dół. Z początku mniemał, że może rząd pomyśli o ich sprowadzeniu, gdyż zabezpieczając wyspę, winien dbać przede wszystkim o bezpieczeństwo obywateli, którzy w dobrej wierze wraz z funduszami udali się na wyspę. Ponieważ jednak głównym jego zamiarem było prowadzić życie spokojne, przeto nie udawał się wcale do rządu o pomoc, na którą z początku liczył. W ostatnim tygodniu udał się znów na wyspę, prowadząc z sobą kilka okrętów wojennych: miał bowiem zamiar zbadać dokładnie wybrzeża i wyszukać miejscowość, dogodną dla założenia fermy, w którejby mógł już wreszcie prowadzić życie spokojne. Lecz niestety, straszna nawałnica rzuciła okręty w nieznanne okolice, przyczem on sam o mało życia nie postradał. Musiał zaniechać wyprawy i zupełnie już upadł na duchu.

Teraz nie wie, co ma z sobą zrobić. Udawał się jeszcze na półwysp Alasta, lecz znów niedźwiedzie prześladowały go do tego stopnia, że musiał się ztamtąd wynosić, boć obcowanie z niedźwiedziami nie mogło mu zapewnić spokojnego życia. Taki zbieg okoliczności podał mu myśl osiedlenia się na nowo-okupionej wyspie Św. Tomasza. Jednakże twierdził, iż wyspa ta nie przedstawia dość spokoju dla człowieka z jego usposobieniem, i to było właśnie powodem, dla którego mnie zapytywał, czy rząd nie ma zamiaru kupienia w tych czasach jakiegokolwiek wyspy. Słyszał albowiem, iż rząd myśli o zakupieniu

wyspy Porto-Rico. Jeśli to prawda, chciałby się tam udać, ma to być bowiem miejscowość spokojna. Czy ta wyspa przedstawiałaby dogodne schronienie dla podobnego człowieka? Czy sądzicie, czytelnicy, iż rząd rzeczywiście ma zamiar zakupienia tej wyspy?

U N i a g a r y .

Spadki Niagary przedstawiają bardzo przyjemne miejsca rozrywki: hotele są bardzo wygodne, a ceny nader umiarkowane. W całym kraju niema dogodniejszego miejsca dla rybołówstwa — bo i czyżby mogły być gdzie lepsze? W innych miejscowościach znajdują się różne ustępy na rzekach, jedne lepsze od drugich; lecz u spadku Niagary znajdują się ustępy pomiędzy którymi niema żadnej różnicy, ponieważ ryby nigdzie przynęty nie chwytają, i z tego powodu można pięć mil przejść spokojnie wzdłuż wodospadu w celu łapania ryb z tem stałem przekonaniem, iż zamiary nasze wszędzie będą uwieńczone równie niepomysłnym skutkiem. Korzyści, jakie przedstawi podobny stan rzeczy, nie są jeszcze dokładnie znane publiczności. Pogoda letnia nie odznacza się tutaj upałem, a miejsca przechadzki lądowe i wodne są bardzo przyjemne i nienużące. Wybierając się w celu zobaczenia spadku Niagary, przebywamy milę drogi wraz z biegiem rzeki i płacimy pewną drobną kwotę za prawo przyjrzenia się naj-

większemu zwężeniu wodospadu ze stromej pochyłości. Tunel kolei żelaznej, przeprowadzony przez taką wyniosłość, przedstawiałby się równie pięknie, gdyby pod nim płynęła rzeka pieniać się i szumiąc. Możecie tutaj, czytelnicy, przy dobrych chęciach zejść na dół po wschodach, zawierających sto pięćdziesiąt stopni, i zapytacie się sami siebie, jaki był właściwy cel podobnego przedsięwzięcia; ale pytanie to będzie już spóźnione.

Przedewszystkiem przewodnik pocznie w sposób ścinający krew w żyłach, opowiadać wam o małym parowcu „dziewicy z mgły”, który przebywał te pełne niebezpieczeństw wiry i wodospady, — jak najpierw jedno koło statku zniknęło w pieniających się falach, poczem i drugie uległo temu smutnemu losowi; jak w drugim miejscu komin upadł na pokład, gdzie pękło obmurowanie komina i rozleciało się na kawałki, a wreszcie w jaki sposób w tej podróży uszedł on z życiem, dokonawszy zdumiewającego nieprawdopodobieństwem czynu, a mianowicie przebywszy siedmnaście mil w przeciągu sześciu minut, czy też sześć mil w przeciągu siedmnastu minut — prawdziwie zapomniałem, które z tych dwóch. W każdym razie były to zapasy bohaterskie. Już za to warto opłacić wejście, by usłyszeć tę historję z ust przewodnika, który ją przy mnie dziewięć razy w różnych zebranych tu grupach powtórzył, nie zmieniając żadnego zdania, nie opuściwszy ani jednego słowa.

Potem przejeżdżacie przez wiszący most, mający w perspektywie dwie smutne możliwości: z jednej strony upadek w rzekę z wysokości dwustu stóp,

z drugiej zaś strony upadek pociągu kolei żelaznej, przebiegającego nad waszemi głowami. Jedna i druga możliwość oddzielnie wzięta jest wielce nieprzyjemną, razem zaś wzięte wywierają silne wrażenie, pod wpływem którego doznaje się uczucia jakiegoś nieszczęścia.

Na kanadyjskim brzegu przebywacie wzdłuż wąwóz między długim szeregiem fotografów, którzy mając pod ręką swoje aparaty, stoją przygotowani, aby was umieścić pretensjonalnie na pierwszym planie obrazu wraz z waszym zgrzybiałym ambulansem i poważnie kroczącą istotą, złożoną ze skóry i kości, a nazywaną tu koniem, gdy tymczasem wspaniały wodospad stanowi tylko małe i niewyraźne tło widoku; a jednak znajdują się tu ludzie z tak wytartym czołem a może z wrodzoną niegodziwością, którzy tolerują a nawet wspierają podobne występki.

Codziennie można widzieć w ręku tych fotografów okazałe wizerunki papy i mamy, Jasia, Kasi i Basi, lub kilku wujaszków ze wsi, wszystko to uśmiechnięte bez wyrazu, w wymuszonych i niemiłych pozach, umieszczone na swoich wozach i nacechowane głupotą, sterczy na tle obcietego obrazu tego majestatycznego zjawiska, którego duchami opiekuńczymi są tęcze, głosem grzmot, a szczyt jego okryty chmurami. Wodospad ten, pełen piękności, grozy i potęgi, był tu panem w epoce zamartej i mioniej, istniał w całym swym blasku, zanim podłe płazy ludzkie uznały się nieodzownymi towarzyszami i uzupełniaczami jego, przetrwa on długie wieki,

podczas których ludzie zmieszają się z robactwem i w proch się obrócą. Nie będzie to wprawdzie wielką zbrodnią, jeżeli Niagarę użyjemy za tło do obrazu, na którym w jasnym i dobrym świetle umieścimy naszą nieznaczną osobistość; jednakże fakt ten wymaga pewnej nadludzkiej miłości własnej, zdolnej popchnąć kogoś do podobnego czynu.

Jeżeliście obejrżeli wodospad, zasypujący was drobnym deszczowym pyłkiem, z tem głębokiem przekonaniem, iż obowiązkom turysty uczyniliście zadosyć, wróćcie się po nowym wiszącym moście do Ameryki i skierowawszy swe kroki w górę brzegiem rzeki ujrzyście jaskinię z windą.

Tutaj, idąc za ogólnym przykładem, zdjąłem moje wierzchnie suknie, przywdziawszy nieprzemakalny kaftan i podobne buty. Jest to kostium malowniczy, lecz nieładny. Podobnie ubrany przewodnik sprzedawał nas po kręconych wschodach, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność; skończyły się wreszcie, przestawszy być dla nas nowością i nie dostarczywszy nam żadnej przyjemności. Byliśmy wówczas dość daleko od szczytu wodospadu, lecz przystem dość wysoko nad powierzchnią wody.

Teraz poczęliśmy przebywać wązkie kładki, przyczem nasze osobistości były zabezpieczone od upadku kruchą drewnianą poręczą, której się jednakże schwytałem oburącz—nie dla tego bym się miał obawiać, lecz ot—ponieważ mi się tak podobało. Dalej droga stawała się czem raz bardziej stromą, kładki poczęły się zwęzać, a piana z amerykańskiego wodospadu poczęła nas obsypywać gęstemi kłębowami, które nas

wkrótce osłepiły; wtedy znikł nasz zapal, i szliśmy macając naokoło siebie. Począł dąć z poza wodospadu silny wiatr, który, jak się zdawało, miał nieprzełamaną chęć strącić nas z mostku i rozsypać w potoku poza skałami. Zauważyłem w sobie również niekłamaną chęć wrócenia do domu, lecz było już za późno. Znajdywaliśmy się właśnie pod olbrzymią ścianą wodną, która pędząc z góry z nieopisanym szumem, uniemożliwiała wszelką rozmowę.

Nagle po chwili zniknął mój przewodnik po za tym potopem, ja zaś udałem się za nim ogłuszony tym hukiem, pędzony bezwiednie wiatrem, porwany burzą ulewnego deszczu, który ciął mnie nieustannie. Zapanowała ogólna ciemność. Dotąd jeszcze ucho moje nigdy nie doświadczało podobnego szumu, ryku i wycia wzajemnie walczących wichrów i wodnych strumieni. Schyliłem głowę, zdawało mi się, iż cały ocean Atlantycki spada mi na barki. Doznawałem uczucia, jakoby świat cały walił się w swoich posiadach. Prąd wody spadał z taką siłą i szybkością, iż niepodobnym było ujrzeć cośkolwiek. Podniosłem nieco głowę, mając otwarte usta, i większa część amerykańskiego wodospadu zalała mi usta i gardło. Gdybym teraz przypadkiem miał gdzie jaki otwór, byłbym zgubiony. Nagle uczułem w tej chwili, iż mostek się kończy, i chcąc iść dalej, zmuszeni jesteśmy stawiać nasze kroki na powierzchni ślizkiej i spadzistej skały. Nigdy jeszcze nie byłem w tak wielkim strachu. Wreszcie przedarłszy się, ujrzelśmy znowu światło dzienne i, stając w pewnym miejscu, mogliśmy podziwiać ten po-

strzępiony, wrzący i pieniący się wodny obszar. Spozstrzegłszy cały ogrom tej masy, oraz szaloną jej szybkość, począłem żałować, iż zapuszczałem się w te wodne prądy.

Szlachetny czerwonoskóry człowiek był zawsze moim przyjacielem i ulubieńcem. Chętnie czytam powieści, podania i romanse, których tenże jest bohaterem. Chętnie badam jego przyrodzoną przenikliwość, miłość dzikiego, swobodnego życia wśród stepów i lasów, jego szlachetny i stały charakter, wzniosły i obrazowy sposób mówienia, jego rycerską miłość ku ciemnobrunatnej dziewicy i malowniczość ubioru i uzbrojenia, a szczególnie to ostatnie. Mocno czułem się wzruszony, znalazłszy przy wodospadzie Niagary sklepy, napełnione wikwintnemi indyjskimi wyrobami z pereł, zdumiewającemi mokasynami i bardziej jeszcze zdumiewającemi dziecinnemi cackami, przedstawiającemi ludzkie postaci, które broń swoją miały zatkniętą w rozmaitych otworach, umyślnie na ten cel w ciele przewierconych, a nogi urobione na kształt pasztetu. Byłem przekonany, iż od tej chwili szlachetnego czerwonoskórego spotykać będę na każdym kroku.

Pewna paniątka w jednym ze sklepów zapewniała mnie, iż zapas tych osobliwości składają wyroby indyjskie, iż fabrykanci tych wyrobów mieszkają w dość pokaźnej liczbie w okolicach wodospadu, będąc przytem ludźmi towarzyskimi, przeto spotkanie się z nimi oraz rozmowa nie przedstawiają najmniejszego niebezpieczeństwa. W rzeczy samej, zbliżywszy się do mostu, prowadzącego na wyspę Luna,

spotkałem jednego z tych synów puszczy, który siedząc pod drzewem, zajęty był pilnie wyszywaniem perłami małego siatkowego woreczka. Miał na głowie kapelusz z szerokimi skrzydłami, na nogach wielkie trzewiki, a w ustach trzymał krótką czarną fajeczkę. A więc fatalne zetknięcie się z naszą cywilizacją zaciera ten malowniczy przepych, stanowiący dotąd prawdziwą ozdobę indyanina, który zdala od nas spoczywa pod cieniem ojczystych namiotów. Do tej relikwii przemówiłem w sposób następujący:

„Czy Wawku-Wang-Wang z Whach-a-Whack jest szczęśliwy? Czy wielki różnofarbny piorun nie wzdycha ku sławie i zdobyczom wojennym? Czy serce jego zadawnia się marzeniem o brunatnych dziewczicach — ozdobie szumiących puszczy? Czy wielki Sachem pragnie pić krew swych wrogów, czy też pragnienia jego ograniczają się wyrabianiem woreczków z pereł dla wrogich białych twarzy? Rzeknij, wniosły szczątku ubiegłej wielkości, odezwij się, ruino, godna poszanowania!”

Ruina rzekła:

„Jestem w swej własnej osobie Dennis Holigan, którego wzięłeś za brudnego indyanina — nędzny, gęgający, laskonogi potworze! Na Mojżesza — uchodź, bo cię pożrę!”

Szybko wypełniłem rozkaz indyanina.

Nieco później spotkałem w bliskości wieży Terapin pokorną córkę odwiecznych mieszkańców, dotkniętych zarazą okolic Buckstin-Moccasin i Leggins, która, siedząc na ławie, wystawiała na sprzedaż

swe piękne towary. Właśnie zajęta była wyrobem drewnianego wodza, zdradzającego silne podobieństwo do kółka do wieszania rzeczy, i wierciła mu otwór w biodrach, gdzie miał być zatknięty jego łuk. Po chwili wahania odezwałem się:

„Czy smutek panuje w sercu leśnej dziewicy? Czy uśmiechnięta córa stepów czuje się opuszczoną? Czy opłakuje wygasłe ognisko narady swej rasy oraz miniony przepych swych przodków? Czy duch jej zwątpiony błądzi po rozległych stepach, po których stąpał mężny pogromca gromów? Dla czego milczy moja córka? Czy wrogą jest dla wszelkiej bladej twarzy?”

Dziewica rzekła:

„Co? ty się ośmielasz mnie Bidy Malone nadać podobne nazwy? Uchodź czemprędzej, albo przetrzęc cię przez wodospad! nędzny kościotrupie, pełzająca gadzino!”

I tutaj także szybko wykonałem rozkaz indyaniki.

Niech dyabli wezmą wszystkich indyan, mówiłem sobie w duchu; słyszałem o nich, że są spokojni, tymczasem, sądząc z pozorów, można śmiało twierdzić, że są na najgorszej drodze do walki. Raz jeszcze próbowałem pobratać się z nimi, lecz już po raz ostatni. Napotkałem cały ich obóz, rozbity pod cieniem wielkiego drzewa, gdzie zatrudniali się wyrabianiem wampum i mokasynów, i odezwałem się do nich po przyjacielsku w sposób następujący:

„Szlachetni czerwonoskórzy, mężni i wielcy Sachemowie! Naczelnicy pokoleń, Skwawowie i Nadmucka-Muchowie! wita was twarz blada z krainy zachod-

dzącego słońca! Ty, dobroczynna bestyo! ty, pochłaniaczu gór, ty, grzmiący piorunie, i ty, kogucie o szklanem oku, wiedźcie o tem, że wita was błądy człowiek z za morza. Walki i zarazy przerzedziły wasze szeregi i poniżyły wasze tak niegdyś dumne pokolenie. Gry hazardowne i tak nędzne, a jednak modne wydatki na mydło, wszystko to nieznanne waszym przodkom stało się przyczyną waszego upadku i wypróżniło wasze sakiewki; przywłaszczając sobie nierozważnie obcą własność, naraziliście się na nieprzyjemności. Skreślając fałszywie li tylko z niewinnej głupoty faktu, straciliście wasze dobre imię u niezłych uzurpatorów. Sprowadzając sobie wodę ognistą, by się upić i uszczęśliwić, a waszą rodzinę zabijając tomahawkami, przyczyniliście sobie zniszczenie malowniczego waszego ubioru i stoicje teraz w jasnym świetle dziewiętnastego stulecia, ubrani jak błazny z przedmieścia New-Yorku. Wstydzcie się! Wspomnijcie na waszych przodków! Przypomnijcie sobie wasze czyny bohaterskie! Niechaj staną przed wami Ukas — Czerwony Surdut! — Dziura w Dniu — Whupdedudeldu! Wstępujcie w ich ślady! Zgromadźcie się pod moim sztandarem, wy, szlachetni dzycy, sławne bekasy!”

„Precz z nim! Zabić tego łotra!”

„Spalić go!”

„Powiesić!”

„Utopić!”

I nagle przystąpili do wykonania operacji z możliwą szybkością. W jednej chwili mignęły przed memi oczyma laski, cegły, pięści, koszyki, perły i moka-

syny, jak jedno uderzenie gromu; zdawało mi się, iż wszystkie te przedmioty lecą jednocześnie, lecz každy uderza gdzieindziej. Wnet po tej katastrofie całe plemię zważyło mi się na barki. Odarli ze mnie połowę mych sukien, złamali mi rękę i nogę; w głowę zaś otrzymałem tak silne uderzenie, iż ciemię moje przybrało kształt wkłęsły, mogąc służyć wybornie za filiżankę do kawy. Ażeby wreszcie uwieńczyć szereg swych niegodnych czynów i niesprawiedliwość połączyć z naigrawaniem się, wrzucili mnie do Niagary, tak że przemokłem do nitki.

W odległości dziewięćdziesięciu do stu stóp od szczytu zaczepiłem się szczątkami mej podartej kamizelki o wystający odłamek skały i, zanim zdołałem się oswobodzić, byłem już prawie zupełnie zatopiony. Spadłem do wody, zanurzywszy się u stóp wodospadu, którego wrzące i spienione fale wznosiły się w znacznej ilości po nad moją głowę. Naturalnie wpadłem w wir. Dwadzieścia cztery razy odbyłem podobną wirową podróż, goniąc jakąś gałązkę i już prawie mając ją schwycić; każde koło, przeze mnie zakreślone, wynosiło pół mili, i za każdą razą starałem się pochwycić tę samą gałązkę, rosnącą na brzegu, lecz ciągle chybiałem o grubość mojego włosa.

Wreszcie nadszedł jakiś człowiek, a usiadłszy nad brzegiem w bliskości mego krzaczka, wyjął z ust fajkę, zapalił zapałkę i patrząc na mnie jednym okiem, drugie zwrócił na zapałkę, zasłaniając ją ręką od wiatru. Wtem silniejszy powiew pozbawił go ognia. Gdym właśnie w tej chwili przepływał obok niego, rzekł do mnie:

„Nie masz pan przypadkiem przy sobie zapaleczki?”

„Mam w kieszonce mej kamizelki. Lecz przede wszystkim pomóż mi pan wyjść ztąd”.

„Za nic w świecie!”

Przeptywając po raz drugi, rzekłem:

„Wybacz pan tonącemu jego natrętną ciekawość, ale racz mi wyjaśnić powód tak dziwnego postępowania!”

„Z przyjemnością. Jestem dozorcą zwłok. Dla mnie jednakże nie potrzebujesz się pan spieszyć; mogę na pana poczekać. Z tem wszystkim pragnąłbym dostać zapalkę”.

„Zajmij pan moje miejsce, rzekłem, a ja pójdę i przyniosę żądany przedmiot!”

Nie zgodził się na to. Ten brak zaufania odstręczył mię od niego, i od tej chwili zacząłem go nie nawidzić. Zamiarem moim było, w razie gdybym się dostał na dno, tak się jakoś urządzić, aby już wpaść w ręce innego dozorca na przeciwnym amerykańskim brzegu!

Wreszcie nadszedł policyant, który mnie przyaresztował, ponieważ wzywając ratunku naruszałem spokój publiczny. Sędzia skazał mnie na karę pieniężną, ale mu pokazałem figę: pieniądze były w spodniach, a spodnie zostały w ręku indyan.

W taki sposób zostałem uratowany. Pomimo to znajduję się obecnie w bardzo krytycznem położeniu — fakt to niezbity, czy zaś w krytycznem, czy w mniej krytycznem, to znowu rzecz inna. Jestem na całym ciele zbity i potłuczony, ale bliższych określić stanu mojego zdrowia udzielić wam nie mo-

gę, ponieważ doktor nie zbadał jeszcze dokładnie mojej osoby. Dziś dopiero wieczorem wyda swoje zdanie. Dotąd jednak utrzymuje, iż tylko szesnaście znalezionych rau grozi mi niebezpieczeństwem, — inne za to są nieznaczne.

Gdy wreszcie przyszedł do zdrowia, zapytałem:

„Doktorze! jednakże straszne jest to pokolenie dzikich indyan, trudniących się nawlekaniem szklanych perełek, sprzedawanych przy wodospadzie. Zkąd pochodzą ci dzicy?”

„Z prowincyi Limerick w Irlandyi, mój synu!”

John chińczyk w New-Yorku ¹⁾.

Przechodząc około jednego z tych wielkich składów herbaty w New-Yorku, zauważyłem tam pewnego chińczyka, spełniającego rolę sklepowego szyldu. Każdy przechodzień oglądał się na niego, a nawet pewna grupa ludzi przystanąła, aby go dokładniej obejrzeć.

Czyż to nie hańba, iż my rozprawiając tyle o cywilizacyi i wolności, nie wahamy się poświęcić naszego bliźniego spełnianiu tak niskich i poniżających obowiązków. Czyż to nie czas zastanowić się, iż podobna istota nie powinna być celem naszej próżnej

¹⁾ John lub Johe chińczyk — przezwisko chińczyków, przybytych do New-Yorku.

ciekawości, lecz winna raczej stanowić przedmiot naszego pożałowania i chłodnego zastanowienia. Siedziała więc ta nieszczęśliwa istota, którą srogi los wygnał z jej ojczyzny i przerzucił na drugą stronę oceanu, a której niedola powinna wzruszyć ten tłum gapiów próżniaczych. Lecz czy wzruszyła? Zdaje się, że nie. Ludzie, należący niby do rasy wyższej, ucylizowanej i obdarzonej szlachetniejszą krwią, robili tylko spostrzeżenia, patrząc na jego dziwny szpiczasty kapelusz chiński z zatkniętą u góry gałką, na jego długi warkocz, spadający mu na plecy, na krótką jedwabną bluzę, ozdobioną deseniem w chwasty, która, podobnie jak reszta ubrania, była brudną i zroszoną, i w oryginalny sposób wisiała mu na ramionach, a wreszcie na jego obciśnięte około wychudłych nóg bawelniane niebieskie spodnie i na niezgrabne trzewiki z obciętymi nosami, na wysokich korkowych podeszwach, — a obejrawszy go od stóp aż do głowy, wypowiedziałwszy przytem parę niesmacznych dowcipów, dotyczących jego kostiumu i zamsucionej twarzy, udawali się w dalszą drogę. Żałowałem szczerze tego nieszczęśliwego mongola, pozbawionego przyjaciół. Zadałem sobie pytanie, jakie uczucia panują pod powłoką tych smętnych rysów i o czem marzą te oczy, zapatrzone w daleką, próżną dal. Czy jego myśl i serce znajdowały się daleko stąd, po za przestrzenią wód spokojnego oceanu? czy może wśród pól ryżowych lub palm wysmukłych? A może pod cieniem górnych niebotycznych szczytów, lub w gajach, pełnych pachnących krzewów i rzadkich drzew, nieznanych w klimacie północnej

Ameryki? A czy w swych snach i marzeniach nie słyszał od czasu do czasu dobrze znajomych głosów i śmiechów, czy wzrok jego nie spozstrzegał wtedy przyjaznych twarzy z ubiegłych dni? Powiedziałem sobie, iż jest to los nieubłagany, który srogo dotknął tego wędrowca o miedzianej cerze.

Aby chociaż słowa nieszczęśliwego człowieka mogły wzruszyć słowniaczą i przyglądającą mu się gawiedź, jeżeli tego ubiór i smutne wejście dokonać nie mogły, uderzyłem go zlekka po ramieniu i rzekłem:

„Bądź dobrej myśli i nie patrz tak smutno! Nie Ameryka traktuje cię w ten sposób: do tego zdolnym jest tylko pojedynczy obywatel, w którego sercu chęć zysku zatarała wszelkie ślady ludzkości. Ameryka odznacza się gościnnością. Amerykanie zawsze są gotowi nieść pomoc nieszczęśliwym. Zbierz tylko cokolwiek pieniędzy, a wrócisz do Chin i zobaczysz znowu swych dawnych przyjaciół. Ileż wynosi tu twoja płaca?”

„Cztery dolary tygodniowo, ani szeląga więcej i tem muszę opędać wszystkie potrzeby mojego życia; jest to jednak chleb bardzo lekki; największą dla mnie nieprzyjemność stanowią obce ubiory — są tak kosztowne!”

Chińczyk wygnaniec wciąż jeszcze piastuje swój urząd. Dla new-yorkskich handlarzy herbatą, lubiących malownicze szyldy, chińczyków nie zabraknie.

Bajeczka o strachach.

Wynajęłam sobie duży pokój w Broadway, dosyć wysoko, w starym ogromnym domu, którego wyższe piętra już od lat wielu nie były zamieszkałe. W miejscu tem, pokrytem przez czas długi pyłem i pajęczyną, samotność i milczenie były jedynymi mieszkańcami. Gdy się wdrapałam do mej izdebki, aby przedzielić w niej pierwszą noc, doznałam uczucia, jakobym błądził gdzieś pomiędzy grobami, jakobym wstąpił w krainę zmarłych. Pierwszy raz w mem życiu doznałam uczucia zabobonnego strachu, i gdy na zakręcie schodów w ciemnym zakątku miękka tkanina niedostrzeżonej pajęczyny... osnuła mi twarz, zadrżałam, jakbym spotkał widmo.

Byłam mocno zadowolony, gdy doszedłszy wreszcie do mego pokoju, mogłam, zamknąwszy drzwi, oddzielić się od pleśni i ciemności. Jasny ogień płonął na kominku — usiadłam przed nim z błogiem uczuciem ulgi.

W taki sposób pędziłam minuty i godziny. Zatopiłam się w marzeniach o ubiegłych latach; przypominałam sobie dawniejsze wypadki i przyzywałam dawno zapomniane twarze, których rysy już utonęły w mgłę przeszłości; przysłuchiwałam się głosom, odzywającym się w mej duszy, głosom, które oddawna umilkły — dawnym ulubionym piosnkom, których nikt teraz nie nuci. A gdy moje marzenia przy-

bierały coraz smutniejszą barwę, wicher szalejący na ulicy, zamienił się w łagodną skargę, plusk ulewnego deszczu, bijącego w moje szyby, przeszedł w łagodne i miarowe uderzenia, na ulicy zapanowała uroczysta cisza, przerywana od czasu do czasu odgłosem kroków spóźnionych przechodniów; odgłos ten nikał w oddaleniu, i znów ulica zamieniła się w przybytek ciszy i spokoju.

Ogień na kominku wygasł już zupełnie. Opanowało mnie uczucie osamotnienia. Powstałam z krzesła i począł się rozbierać, obszedłszy przedtem na palcach mój pokój i w ogóle postępując ostrożnie i pokryjomu, jak gdybym był otoczony śpiącymi nieprzyjaciołmi, których przerwanie spoczynku mogłoby mi grozić niebezpieczeństwem. Położyłam się do łóżka, a plusk padającego deszczu, szum wiatru i lekkie szmer poruszanych okiennic wkrótce mnie uśpiły.

Spałam dość mocno, lecz jak długo, nie wiem. Nagle zbudziłam się i doznałam uczucia przykrego osamotnienia. Dokoła panowało głębokie milczenie. Nie słyszałam nic, prócz bicia mego serca. Wtem moja kołdra zaczęła się zsuwać ku końcowi łóżka, jak gdyby ją ktoś ciągnął. Nie byłam zdolny porużyć się, ani też wydać żadnego głosu. Kołdra zsuwała się coraz dalej, aż wreszcie piersi moje zostały zupełnie odkryte. Wtedy schwyliłam ją konwulsyjnie i przykryłam się z głową. Czekałam i słuchałam. Znów po raz drugi rozpoczęło się uporczywe ściąganie, — leżałam struchlały; minuty wlokły się powoli, wydając mi się wiekiem, aż wreszcie znów

uczulem odkryte piersi. Teraz zebrałem całą moją energię, szarpnąłem silnie kołdrę i trzymałem ją mocno w obu rękach.

Po chwili uczulem lekkie targanie, trzymałem więc kołdrę jeszcze silniej. Targanie to wzrastało, przechodząc w silne szarpanie, które stawało się coraz mocniejszym. Musiałem puścić kołdrę i po raz trzeci zostałem odkryty. Jęknąłem, a głuchy jęk, wychodzący z końca łóżka zdawał mi się odpowiedzieć. Grube krople potu okryły mi czoło, byłem na wpół martwy.

Nagle usłyszałem w moim pokoju ciężkie stąpanie — stąpanie słonia, jak mi się zdawało, gdyż żadna ludzka istota nie byłaby w stanie stawiać takie kroki. Kroki te oddalały się odemnie, co było dla mnie pewną pociechą. Słyszałem, jak się przybliżały do drzwi,— wyszły, nie otwierając zamku z kluczą, poczem ginęły w ciemnych i posępnych kurytarzach, a pod silnym ich naciskiem skrzybiały belki i tarcice,— wreszcie zapanowało znowu głąkokie milczenie.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, rzekłem do siebie:

„To tylko sen — naturalnie bardzo przykry sen!”

W rozmyślaniach leżałem w łóżku, dopóki nie nabrałem przekonania, iż w rzeczy samej wszystko to snem tylko było; wtedy począłem się śmiać sam z siebie i pewna otucha wstąpiła we mnie.

Wstałem z łóżka, zapaliłem świecę, a znalazłszy wszystkie zamki i rygle w porządku takim, w jakim je zostawiłem, doznałem pewnego wewnętrznego za-

dowolenia, które wywołało nowy uśmiech na moje usta. Nałożywszy fajkę, chciałem ją właśnie zapalić, w tem..... fajka o mało nie wypadła z mych zdrtwiałych palców, wszystka krew uciekła mi z twarzy, a przerażenie tamowało mi oddech w piersi. W popiele, rozsypanym przed kominkiem, obok śladów, wyciśniętych moją nogą, znajdowały się inne, lecz tak olbrzymie, iż w porównaniu z niemi ślad mojej nogi można było nazwać śladem dziecka. A więc w samej rzeczy był ktoś u mnie i potwierdziło się to ciężkie stąpanie. Zgasilem świecę i wróciłem do łóżka, chwiejąc się ze strachu. Leżałem długi czas, nadsłuchując i wpatrując się w ciemności. Nagle usłyszałem głuchy szelest nademną, jak gdyby ktoś ciężkie ciało włókł po podłodze, poczem nastąpił upadek tego ciała, w skutek czego okna moje zarzęsły się silnie. W przyległych częściach budynku usłyszałem głuchy łoskot zamykających się drzwi. Słyszałem, jak od czasu do czasu stąpania powtarzały się w kurytarzach i po schodach. Czasem stąpania te zbliżały się ku moim drzwiom, wahały się czas jakiś i znowu się oddalały. Słyszałem w oddalonych kurytarzach słaby chrzęst łańcuchów, nadsłuchiwałem — chrzęst ten się zbliżał, dawał się słyszeć na schodach, oznaczając każde poruszenie uderzeniem wiszącego końca łańcucha, który z silnym brzękiem spadał na stopnie, gdy tymczasem duch, co go dźwigał, zbliżał się powoli. Słyszałem niewyraźne zdania, na wpół wydzierające się krzyki, zdające się być wynikiem jakiegoś gwałtu, szelest sukien i trzepotanie skrzydeł.

Wtedy nabrałem przekonania, iż ktoś wdarł się do mego pokoju, że nie jestem sam. Słyszałem koło mego łóżka oddech i tajemnicze westchnienia. Trzy małe kuleczki z fosforycznym światłem okazały się na suficie po nad moją głową, zatrzymały się, płonąc przez chwilę, następnie dwie spadły mi na twarz, a jedna na poduszkę. Pyskały, były płynne i ciepłe. Wiedziałem z praktyki naukowej, iż one spadając, zamieniają się w krople krwi — nie potrzebowałem światła, aby się o tem przekonać. Potem spostrzegłem blade, smętne twarze i białe wzniesione ręce, które przez chwilę płynęły w powietrzu, następnie znikwały. Nagle szelest, głosy i wszelkie dźwięki umilkły — znów zapanowało głębokie milczenie. Czekałem i słuchałem. Czułem nieodzowną potrzebę światła, inaczej — przeczuwałem śmierć. Osłabłem ze strachu; zwolna podniosłem się i usiadłem na łóżku, wtem twarz moja zetknęła się z jakąś lepką ręką. Wszystkie siły mnie opuściły, i padłem na łóżko, jakby rażony piorunem. Wtedy dosłyszałem szelest sukni, który zdawał się zbliżać ku drzwiom i wychodzić.

Gdy znów zapanowała cisza, wstałem z łóżka chory, osłabiony i drżącą jak u stuletniego starca ręką zapaliłem gaz. Widok światła wprowił mnie w nieco weselsze usposobienie. Usiadłem w fotelu i zagłębiłem się w rozmyślaniach o wielkich śladach, wyciśniętych w popiele. Przypatrując się im, zauważyłem, iż ich zarysy poczęły drżeć i stawać się niewyraźnymi. Spojrzałem po za siebie, aż tu płomień gazowy zwolna począł gasnąć.

W tej chwili znów usłyszałem ciężkie stąpania. Słyszałem, jak się zbliżały powoli przez liczne przedstonki, gdy tymczasem światło gasło coraz bardziej. Kroki doszły wreszcie do moich drzwi i zatrzymały się nagle — płomień gazowy zamienił się w słaby, migotliwy, niebieski płomyczek — wszystko dokoła pogrążyło się w tajemniczym półmroku. Drzwi były zamknięte, a jednak czułem, iż lekki powiew powietrza polećtał mi lica, i wkrótce nabrałem przekonania, iż jakaś straszna, powietrzna istota znajdowała się przedemną. Dostrzegłem ją przerażeniami oczyma. Słaby blask opromieniał tę istotę. Stopniowo ten rozpięchły obłok począł przyjmować pewne kształty — ukazały się ręce, nogi, cały korpus a wreszcie z tej mgły wychyliła się twarz, nacechowana smętnym wyrazem. Jej mgliste szaty rozwiały się w powietrzu, naga muskularna postać ukazała się w całej pełni, a ja poznałem w niej majestatycznie olbrzyma z Cardiffu.

Cały mój przestрах zniknął, każde bowiem dziecię wie o tem dobrze, iż ta postać życzliwa nie jest w stanie zrobić nic złego. Natychmiast powróciło moje wesołe usposobienie, płomień gazowy rozjaśnił się nagle, jak gdyby chciał okazać olbrzymowi pewną sympatyę. Żaden wygnaniec nie cieszył się tak nigdy widokiem towarzysza, jak ja obecnie postacią tego poczciwego olbrzyma. Odezwałem się po chwili:

„Jakto? czy tylko sam tu jesteś? Czy wiesz także o tem, iż w przeciągu ostatnich trzech godzin o mało nie umarłem ze strachu? Jestem w istocie bardzo

szczęśliwy, iż cię widzę. Chciałbym ci ofiarować krzesło..... lecz nie tam, nie próbuj nawet tam siadać!"

Lecz było za późno. Zanim zdążyłem go powstrzymać, usiadł na krzesło i runął z nim razem na ziemię; pierwszy raz widziałem tak zdruzgotane krzesło.

„Stójże, poczekaj, połamiesz mi wszystko!"

Lecz znów się spóźniłem; trzask się powtórzył i drugie krzesło rozleciało się w drobne kawałki.

„Do krośset! czyś zmysły postradał? Czy chcesz mi połamać wszystkie sprzęty? Tutaj, tutaj, skamieniały błaznie....."

Lecz wszystko było napróżno. Zanim zdążyłem go powstrzymać, usiadł już na łóżku, które zamieniło się w tej chwili w smutne zwałiska.

„Cóż to za nowy sposób znalezienia się? Najpierw przychodzisz do mnie i hałasujesz w moim mieszkaniu, prowadząc z sobą cały legion błędnych mar, które mnie dręczą śmiertelnie, a potem, cóż to za niedelikatność zjawiać się w podobnym kostiumie, który nigdzie nie jest przyjęty przez przyzwyczajonych ludzi, chyba w jakim pocziwym teatrze, a i tam nie lubią nagości męskiego rodzaju; wreszcie moje pobłażanie wynagradzasz mi połamaniem wszystkich mebli, na których usiłujesz usiąść. I pocóż zresztą te gwałtowne usiłowania? Wyrządzasz tem szkodę mnie i sobie. Otóż odłamałeś sobie koniec kolumny pacierzowej i tak potłukłeś kłęby, iż cała podłoga zasypana twemi odłamkami i wygląda, jak warsztat rzeźbiarza. Wstydź się — jesteś już dość duży, aby umieć się znaleźć!"

„Nie będę już więcej rozbijał mebli, lecz cóż mam począć? Od lat przeszło stu nie miałem sposobności usiąść".

„Biedna istoto, rzekłem, nie powinienem był tak grubiańsko z tobą postąpić! A nawet podobno jesteś sierotą. Lecz siadaj tu na podłodze, gdyż nic innego nie wytrzyma twego ciężaru, a przytem nie moglibyśmy wygodnie rozmawiać z sobą, gdybym tak wysoko na ciebie musiał spoglądać; aby się zrównać z tobą wejść na moje biurko, a wtedy, patrząc ci w oczy, będę mógł rozmawiać z tobą".

Olbrzym usiadł na ziemi, nałożył sobie fajkę, którą mu podałem, zarzucił sobie na ramiona moją czerwoną koidrę, na głowę wsadził moją wannę, niby rodzaj hełmu, a wyglądał pięknie i malowniczo. Potem założywszy nogę na nogę, podczas gdy ja poprawiałem ogień na kominku, wystawił podziurawione pięty swych olbrzymich nóg na ożywcze działanie ognia.

„Cóżes ty zrobił ze swemi nogami, że są tak podziurawione?"

„Są to jeszcze pamiątki, które otrzymałem, leżąc pod fermą w Newall, gdzie mi odmarzył cały grzbiet i nogi; jednakże podobało mi się to miejsce, kocham go tak, jak każdy kocha swoją ojczyznę. Nigdzie nie znalazłem tak błogiego spokoju, jak tam".

W taki sposób rozmawialiśmy dobre pół godziny, w końcu zauważyłem, iż mój olbrzym wyglądał ogromnie zmęczony, o czem mu wspomniałem.

„Zmęczony?" odpowiedział: „naturalnie, jakże może być inaczej? Ponieważ doznałem od ciebie dobrego

przyjęcia, opowiem ci wszystko, co się wiąże z tem słowem. Jestem duchem skamieniałego człowieka, spoczywającego w muzeum, które się tu naprzeciwko znajduje. Jestem duchem olbrzyma z Cardiffu. Nie mam chwili spokoju i nie będę go mieć dotąd, dopóki to biedne ciało nie zostanie pogrzebane. Cóż więc innego mógłem uczynić, aby wzruszyć tych ludzi i skłonić do spełnienia mych życzeń? To cię przeraża! — straszyc w tem miejscu, gdzie leżało moje ciało. I tak co noc straszylem w muzeum, zawezwałem nawet pomocy innych duchów. Lecz w taki sposób niczego dopiąć nie mógłem, gdyż nikt nie przychodził do muzeum o północy. Wtedy przyszła mi myśl szczęśliwa, aby przejść na drugą stronę ulicy i postraszyć nieco w tym domu. Wiedziałem dobrze, iż moje zamiary powieść się muszą, jeśli tylko znajdę kogoś, co mnie usłyszy, gdyż miałem z sobą towarzyszy, jakich tylko piekło dostarczyć może. Noc w noc, drżąc od zimna, odbywaliśmy wędrówki w tych ponurych komnatach, włóczyliśmy łańcuchy, wydawali jęki, szepty, stąpali po schodach, aż wreszcie zesłałem ze znużenia. Dostrzegłszy jednak dzisiejszej nocy światło w twym pokoju, zebrałem wszystkie moje siły i przyszedłem raz jeszcze z częścią mych towarzyszy. Jednakże czuję się zupełnie znużonym. Błagam cię na wszystko, daj mi jakąkolwiek nadzieję”.

Wzburzony opowiadaniem zerwałem się z mego wzniesłego siedzenia i zawołałem:

„To przechodzi wszelkie granice, wszystko, co dotąd się stało! O nieszczęsna, stara, błędna maro!

zadawałeś sobie te trudy napróżno — wszakże to tylko *odlew gipsowy* — prawdziwy olbrzym z Cardiffu znajduje się w Albany! Do krośset! czyż nie mógłś rozpoznąć swych szczątków?”¹⁾

Nie widziałem nigdy człowieka, którego twarz byłaby nacechowaną uczuciem takiego wstydu i upokorzenia, jaką w tej chwili przedstawiał olbrzym z Cardiffu.

Skamieniały człowiek powstał zwolna i rzekł:

„I to jest szczerą prawdą?”

„Prawdziwą, jak to, że tu siedzę!”

Wyjął z ust fajkę i położył ją na kominku, a zawaławszy się przez chwilę, z przyzwyczajenia sięgnął ręką tam, gdzie znajdować się powinny kieszenie od spodni, wreszcie opuścił głowę na piersi i rzekł:

„W całym mojem życiu nie popełniłem takiego głupstwa, jak teraz. Skamieniały człowiek drwił sobie z całego świata, a teraz pada ofiarą najwyczerpięjszego oszustwa. Mój synu, jeżeli w twem sercu pozostała jeszcze jaka iskierka litości dla mnie biednej, opuszczonej mary, błagam cię, zachowaj całe to zdarzenie przy sobie. Pomyśl, co by się działo w twej duszy, gdybyś popełnił podobne kapitalne głupstwo”.

¹⁾ Fakt. Właściciel muzeum w New-Yorku ogłaszał afiszami, że posiada jedynie prawdziwe ciało „olbrzyma z Cardiffu”. Oszustwo wyszło na jaw, gdyż muzeum w Albany posiadało właściwy oryginał.

Wkrótce potem usłyszałem ciężkie jego stąpania po schodach, poczem wyszedł na ulicę; odgłos jego kroków stawał się coraz słabszym, a wreszcie zniknął w oddaleniu; ogarnął mię smutek po wyjściu tej nieszczęśliwej istoty, lecz smutek ten się powiększył, skoro dostrzegłem, iż olbrzym zabrał moją czerwoną koldrę i wannę.

Dziwny sen.

(Zawiera zdanie moralne.)

Pozawczorajszej nocy miałem dziwny sen. Zdawało mi się, iż siedzę na schodach — w jakimś niewielkiem mieście — głęboko pogrążony w myślach, o godzinie dwunastej w nocy. Czas był prześliczny, a powietrze przejęte balsamiczną wonią. Żadne stąpanie, żaden głos ludzki nie przerywał uroczystej ciszy — od czasu do czasu tylko dolatywało głuche szczekanie psa, któremu słabo odpowiadał oddalony towarzysz. Nagle na ulicy rozległ się głuchy klekot, pochodzący jakby od uderzenia kości; wziąłem to zrazu za dźwięk kastanietów jakiego towarzysza, które pragnie wyprawiać serenadę. Po chwili przebiegł majestatycznym krokiem wysoki jakiś szkielet w rodzaju kaptura na głowie, osłonięty zbudziały i poszarpanym całunem, którego szmaty wisiły mu niedbale na żebrach, — przesunął się szybko i zniknął w mdłym świetle gwiazd,

Na barkach dźwiżał trumnę połamaną i stoczoną od robaków, w rękę zaś trzymał jakąś wiązkę. Teraz wytłómaczyłem sobie przyczynę i źródło tego klekotu: powstawał on w skutek zginania stawów oraz uderzania ramion o żebra.

Byłem w najwyższym stopniu zadziwiony. Zanim zdołałem zebrać moje myśli, oraz zastanowić się nad tem, co mogło oznaczać tak dziwne zjawisko, nadbiegł drugi szkielet, którego poznałem po tem samem klekotaniu. Ten dźwiżał część swej trumny na plecach, kilka zaś desek trzymał pod pachą. Czuję w sobie nieprzewycięzoną chęć zajrzenia w oczy temu zjawisku i przemówienia do niego; gdy wszakże ono zwróciło się do mnie i wytrzeszczyło na mnie swe głębokie oczodoły, uśmiechnąwszy się naprzód wystającą szczęką, muszę wyznać prawdę, iż porzuciłem mój zamiar pierwotny.

Skoro znikło to zjawisko, usłyszałem nowy klekot, i trzeci szkielet wynurzył się z ciemnego półmroku. Ten zgięty był pod ciężarem olbrzymiego nagrobka i ciągnął za sobą na sznurku nędzną jakąś trumnę. Gdy mnie mijał, popatrzył się na mnie czas jakiś, potem, zwróciwszy się do mnie plecami, rzekł:

„Pomóż mi złożyć ten kamień!”

Spełniłem jego życzenie. Podczas tej operacji zauważyłem na kamieniu napis następujący: „John Baxter Copmanhurst” a także „Maj, 1839” zapewne datę jego śmierci.

Nieboszczyk usiadł znużony obok mnie i otarł sobie czoło i wielkie szczęki, co stanowiło, jak wno-

siłem, resztki dawnego przyzwyczajenia, gdyż, o ile zauważyć mógłem, wcale nie był spocony.

„Żle, bardzo źle”, rzekł znowu, otulając się szczerkami swego całunu i podpierając ręką swą kościstą szczękę.

Potem położył lewą nogę na kolanie i począł ją machinalnie drapać zardzewiałym goździkiem, wyjętym ze swej trumny.

„Cóż tak złego, przyjacielu?” rzekłem.

„Wszystko, ach wszystko; żałuję teraz panie, że umarłem!”

„Wprawiasz mnie w osłupienie! Pocóż te żale, czy się co złego stało? Cóż ci jest właściwie?”

„Co mi jest, pytasz! Więc spojrzysz na ten całun, wszak cały jest zniszczony! Spojrzysz na ten nagrobek — cały potłuczony. Spojrzysz wreszcie na tę nędzną starą trumnę — wszystko, co mam, niszczeje, rozpada się w moich oczach, a ty pytasz jeszcze, jak mi się powodzi! Piekło i gromy!”

„Uspokój się, proszę, rzekłem, rzeczywiście jest źle, a nawet bardzo źle; lecz z drugiej strony sądziłem, iż w twojem położeniu nie powinienbyś dbać tyle o tak blahe rzeczy”.

„A jednak, mój drogi, wiele mi na nich zależy. Duma moja wiele na tem cierpi, godność jest tem poniżoną, nawet zdeptaną. Objasnię ci moje położenie, wystawię ci je w takim świetle, iż mnie pojmiesz — jeżeli tylko zechcesz mnie posłuchać”, ciągnął dalej biedny szkielet, uchyliwszy nieco swego kaptura, jak gdyby gotował się do bitwy, nadając sobie tem mimowolnie wyraz wesoły i pocieszny, co

wcale się nie zgadzało z poważnym charakterem jego pozycyi społecznej — jeśli mogę się tak wyrazić — oraz tworzyło uderzający kontrast z jego smętnem usposobieniem.

„Mów dalej!” rzekłem.

„Mieszkam na lichym starym cmentarzu, oddalonym zaledwie o kilka ulic od ciebie, tu na tej ulicy.... lecz otóż masz, toby mógł pomyśleć, że ta kość się złamie, — trzecie żebro od dołu; mój przyjacielu, przywiąż go mocno nitką do kolumny pancerzowej, jeśli masz nitkę przy sobie, chociaż w tym przypadku srebrny drucik byłby daleko przyjemniejszy, trwalszy i łagodniejszy, a mianowicie, gdy się go czysto utrzymuje — i pomyśleć o tem, że człowiek rozpada się w szmaty i kawałki, jedynie dzięki obojętności i niedbalstwu potomków!”

I nieszczęsna mara zgrzytnęła zębami tak, iż dreszcz zimny mnie przeszedł, gdyż zgrzyt ten w skutek braku ciała i skóry miał podwójną siłę.

„Jak powiedziałem, mieszkam na starym cmentarzu od lat już trzydziestu; wierzą mi, wiele rzeczy się zmieniło od chwili, gdym po raz pierwszy złożył tam moje strudzone członki, gdym je wyciągnął i ułożył do błogosławnego snu, z tem rozkosznem uczuciem, iż rozstają się na zawsze ze zmartwieniem i troską, z obawą, strachem i rozpaczą. Z coraz bardziej wzrastającym, błogiem, wewnętrznym zadowoleniem przysłuchiwałem się robocie grabarza, od pierwszego uderzenia łopaty w trumnę, aż kiedy ten łoskot zamienił się w ciche i miarowe spadanie ziemi na wieko mego nowego pomieszkania. A potem —

wszystko ucichło... byłem zachwycony! Radziłbym ci jak najprędzej skosztować tych rozkoszy, choćby jeszcze tej nocy. I lekkim uderzeniem swej klekoczącej ręki wyrwał mnie nieboszczyk z mego uśpienia.

„Tak, mój drogi, ciągnął dalej szkielec — przed trzydziestu laty ległem w mym grobie i byłem szczęśliwy. Lecz wtedy jeszcze nasz cmentarz leżał daleko po za miastem, wśród wonnych, kwiecistych, przepysznych lasów, gdzie wietrzyk swawolny igrał z liśćmi, wiewiórki wyprawiały swe pocieszne skoki, odwiedzały nas pełzające robaczki, a ptaki napępniały to ciche ustronie swym melodyjnym śpiewem. Ha! wtedy śmierć warta była dziesięć lat życia człowieka. Wszystko było piękne i przyjemne. Sąsiedztwo miałem też wcale dobre, gdyż wszyscy nieboszczycy, spoczywający obok mnie, należeli do najpierwszych rodzin miejskich. Nasi następcy okazali wielkie o nas staranie: ogrodzenie znajdowało się w stanie nienagannym, krzyże grobowe były czyste i wybielone, a jeżeli który z nich zczerniał, był natychmiast zastąpiony innym; starano się, aby nagrobki stały prosto, aby sztachety były czyste i porządne, aby krzaki różane i inne krzewy były pobocinane i wolne od chwastów, aby ścieżki były zamiecione i wysypane żwirem. Lecz znikły już te piękne dni! dzisiejsza potomność zapomniła o nas. Mój wnuk mieszka w przepysznym pałacu, wzniesionym za pieniądze, na które krwawo pracowałem, a ja spoczywam w opuszczonej trumnie, stoczonej przez robaki, które w mym pośmiertnym całunie pozakładały sobie guizda! Ja i liczni moi przyjaciele

założyliśmy to piękne miasto i zapewnili mu dobrobyt, a teraz potomność, ów zastaw naszej miłości i nasza chluba, pozwala nam gnić w zmurzałych mogiłach, przeklinanych przez sąsiadów a pogardzonych od obcych.

„A teraz zważ różnicę między dawnym i obecnym czasem — i tak np. nasze wszystkie mogiły już się zapadły; krzyże upadły, lub zgniły, sztachety chwieją się na wszystkie strony i lekkomyślnie wiszą bez podstawy w powietrzu, nasze nagrobki jakby zmęczone pochylają się, a napisy grobowe schylają smutnie swe głowy; ani mowy niema o ozdobie — ni róż, ni krzaków, ni piaskiem wysypanych ścieżek — w ogóle brak wszystkiego, coby miłem było dla oka. A co więcej, nawet ów bezbarwny parkan, który pozował na to, by nas bronić od towarzystwa zwierząt i świętokradztwa nóg ludzkich jakby jaką świętość, zapadł tak nisko i pochylił się nad drogą, iż tylko wskazuje istnienie naszej smutnej siedziby i powoduje drwiący uśmiech. Obecnie nie jesteśmy w możności ukryć nasze ubóstwo i łachmany w przyjaznych nam lasach, gdyż miasto szeroko i daleko objęło nas swymi śmiertelnymi ramionami i wcieliło w swój lichy obraz, a wszystko, co nam zostało z radosnych dni miejsca zamieszkania, ogranicza się na kilku grupach smętnych drzew leśnych, które znudzone i przesycone miejskiem życiem, oparłszy swe nogi o trumny nasze, tęskno patrzą w dal, radeby pożegnać to miejsce. Powiadam ci, że to wszystko jest haniebnie!”

„Teraz zapewne pojmujesz — rozumiesz, stan rzeczy. Podczas gdy nasi potomkowie dokoła nas w mie-

ście prowadzą rozkoszne życie za nasze pieniądze, my musimy ciężko walczyć, by jako tako czaszkę z kośćmi w całości utrzymać. Mój ty miły Boże! i jednego grobu niemasz na naszym cmentarzu bez dziury! Ileż to razy, gdy w nocy deszcz pada, musimy wylazić z naszego łoża i chronić się pod gałęzie drzew, bardzo często zostawaliśmy nagle ze snu budzeni zimną wodą, która spływała po naszych plecach. Wówczas rozwierają się wszystkie groby, pomniki padają na ziemię, a wszystkie kościotrupy spieszą, by sobie zdobyć jakiekolwiek miejsce wśród gałęzi drzew. Gdybyś takiej nocy po godzinie dwunastej przechodził tędy, ujrzałbyś nas, wiszących po piętnastu na jednej gałęzi, podczas gdy nasze członki melancholicznie dzwoniły, a wiatr smutnie na nich przygrywał! Często skuleni siedzieliśmy tak po trzy, cztery godziny i znów wchodziliśmy do grobów zziębnięci, przemokli i śpiący, i jeden drugiemu pożyczzał czaszki, by wodę wyczerpać, — zajrzyj mi przez usta, gdy nachylę głowę, a zobaczysz, iż czaszka moja do połowy jest napełniona starym, zeschłym, ziemnym osadem, — często mi to ciąży w głowie i robi głupim! Tak, mój drogi przyjacielu! gdybyś przechodził nadedniem, ujrzałbyś nas, czerpiących wodę z grobów, a nasze śmiertelne stroje wiszące na płocie, by wyschły. Ach, pewnego poranku skradziono mi mój elegancki całun; podejrzewam pewnego Smitha, który mieszka na cmentarzu demokratycznym; gdyż zważ tylko dobrze, gdy go raz pierwszy widziałem, miał na sobie tylko kolorową koszulę, a na ostatnim towarzyskim zebraniu, na

nowym cmentarzu, miał najelegantszy strój, a co wzmaga podejrzenie, to jego natychmiastowe oddalenie się, gdy mnie zoczył. Wkrótce potem zabrakło pewnej starej kobiecie tu zamieszkałej trumny; miała ona ten zwyczaj że wychodząc brała ją zwykle z sobą, gdyż skłoną była do przeziębienia, a reumatyzm w stawach, który spowodował jej śmierć, mógł się powtórzyć, gdyby zbyt długo w noc siedziała. Nazywała się Hotchkiss — Anna Matylda Hotchkiss... a może ty ją znasz? Ma ona z przodu dwa zęby, słusznego wzrostu, chociaż lubi trzymać się pochyło, brakuje jej jednego lewego żebra, na głowie ma resztki siwych włosów, spadających na lewą stronę, prócz tego wystaje mały kosmyk tuż nad prawem uchem i obok niego, jej dolna szczeka z jednej strony ściągnięta jest drutem, mała kośćeczka lewego łokcia odleciała — straciła ją w bójce; w chodzie ma ona coś chełpliwego, podpira się pod boki, a nosem naprzód pruje powietrze; jest ona sobie dosyć swobodną i lekkomyślną, na każdym miejscu rozbitą lub uszkodzoną, tak że podobną jest raczej do torby z potłuczonymi garnkami — czy nie spotkałeś jej ani razu?"

„A niech mnie Bóg broni!” krzyknąłem mimowolnie, sam nie wiem dla czego, lecz nie oczekiwałem takiego pytania i właśnie ono mnie tak przestraszyło. Ale w tej chwili pospieszyłem z naprawieniem mej niegrzeczności i rzekłem:

„Chciałem powiedzieć: nie miałem zaszczytu, gdyż nie ośmieliłbym się ubliżyć twej przyjaciółce. Mówiłeś mi, że zostałeś okradziony, co jest rzeczą ha-

niebną; lecz sądząc po całunie, który masz na sobie, musiał on być swego czasu bardzo kosztownym. Jakże się to stało — ?”

Dziwny, przestraszający wyraz zaczęły przybierać zapadłe rysy mego gościa; byłem niespokojny i pełen obawy. Lecz strach mój ustąpił, gdy on mi wytłómaczył, że wyraz ten miał oznaczać wymownie chytry uśmiech, mający mi wyjaśnić, iż w czasie, gdy on zyskał swój strój obecny, inny duch z sąsiedniego cmentarza stracił takiż sam strój. To mnie znów uspokoiło, lecz prosiłem, by nadal zechciał się tylko ograniczać na mowie, gdyż wyraz jego twarzy jest cokolwiek niepewny, a nawet przy największej troskliwości zawsze chybi swego celu. Przedewszystkiem zaś prosiłem go, by unikał śmiechu. To, co dla niego było świetnym rezultatem, w moich oczach nabierało wprost przeciwnego znaczenia. Wreczas dodałem, iż chętnie widzę wesolego kościotrupa i nic nie mam przeciwko temu, by on sobie pożartował w przyzwoity sposób, jednakowoż jestem zdania, że uśmiech dla szkieletu nie jest rzeczą stosowną.

„Tak, mój kochany przyjacielu, mówił dalej szkielet, opisałem ci stan nasz faktyczny. Te dawne cmentarze — jeden, na którym ja mieszkam, a drugi nieco dalej, z umysłu zostały zaniebane przez naszych żyjących potomków tak, że już nie są mieszkalne. Pominąwszy nawet osteologiczne niedogodności takiego stanu, a to nie jest rzeczą błahą w obecnych dżdżystych czasach — nasze dzisiejsze położenie grozi zniszczeniem naszego dobrobytu. Jesteśmy zmu-

szeni albo się wyprowadzić, albo też z rezygnacją patrzeć na zupełną zaturę naszej własności. Zaledwie temu uwierzysz, a jednak jest to najczystsza prawda: między wszystkimi moimi towarzyszami nie masz ani jednego, któryby posiadał całą trumnę — jest to fakt bardzo smutny!

„Nie mam tu wcale na myśli motłochu, który przybywa tutaj wozem w jodłowej skrzynce; lecz mówię o tych dźwięcznych, metalowych, okutych w srebro śmiertelnych domach, najprzedniejszego gatunku, które majestatycznie na czele procesji kroczą do nas wśród czarnych pióropuszków i wyszukują dla siebie najlepsze miejsca cmentarne, — mam tu na myśli ludzi takich, jak Jarvis, Bledsoes, Burlings i inni: wszyscy oni są blizcy bankructwa, a byli to najbogatsi ludzie między nami. Teraz spojrzysz na nich — wcielone ubóstwo. Jeden z Bledsoesów faktycznie przehandlował swój pomnik grobowy za kilka nowych wiorów pod głowę, jakiemuś kelnerowi. Powiadam ci, że fakt ten najdosadniej charakteryzuje nasz stan, gdyż niczem bardziej trup się nie pyszni, jak pomnikiem. Lubi on często odczytywać swój napis grobowy, po pewnym czasie uwierzy w niego, i noc w noc możesz go spotkać na płocie, cieszącego się swoim napisem. Takie grobowe napisy są tanie, a gdy umrze jaki biedak, bardzo się niemi cieszy, zwłaszcza gdy prowadził smutne życie. Jestem zdania, by jak najczęściej je na grobach umieszczać. Nie chcę się w skargach rozwodzić, ale tak w cztery oczy powiem ci, że moi potomkowie okazali się trochę brudnymi, gdyż nic prócz starej ta-

blicy nie umieścili na mym grobie, a co gorszą nie umieścili żadnego grzecznego frazesu, kazali wyryć tylko te słowa:

„Zszedł z tego świata, by otrzymać zasłużoną nagrodę”.

„Gdy po raz pierwszy ujrzał ten napis, byłem z niego dumny, powoli jednak zauważyłem, iż pewien dawny przyjaciel przechodził tamtędy i, zatrzymawszy się przed pomnikiem, czytał, krzywiąc się nieco, dopóki nie doszedł do powyższych słów, potem odszedł, machnąwszy ręką z widocznym wyrazem wewnętrznego zadowolenia”.

„Wydrapałem więc napis, aby nie widzieć więcej podobnych głupców. Lecz umarły zawsze jest dumny ze swego pomnika. Tam oto po drugiej stronie idzie całe pół tuzina Jarvisów wraz ze swym familijnym pomnikiem. Przed chwilą także przechodził Smither z swoim nagrobkiem, mając kilka najetych duchów. Hej, Higgins, jak się masz, stary przyjacielu!... Jest to Meredith Higgins, umarł w czterdziestym czwartym roku życia, należy do naszego oddziału na cmentarzu — stary i szlachetny ród, jego prababka była indyanką; jestem z nim w najściślejszych stosunkach. Nie słyszał mnie i dla tego nie odpowiedział. Przykro mi bardzo, gdyż chętniebym ci go przedstawił. Miałbyś prawdziwą przyjemność porozmawiania z nim. Jest to kościotrup tak polamany, okulały i rozbity, jakiego pewno jeszcze w życiu nie widziałeś, ale odznacza się dowcipem i wesołem usposobieniem. Śmiejąc się, wydaje głos, jaki powstaje przy tarciu dwóch kamieni, i śmiech swój

rozpoczyna zawsze chrapliwym okrzykiem, brzmącym, jak góźdz zardzewiały, pocierany o szybę”.

„Hej, Jones! Jest to stary Columbus Jones. Jego całun śmiertelny kosztował czterysta dolarów, cały zaś pogrzeb wraz z postawieniem pomnika — dwa tysiące siedmset dolarów. Odbył się na wiosnę dwudziestego szóstego roku. Jak na te czasy był to pogrzeb bardzo wspaniały. Umarli poschodzili się nawet z Alleghanies, aby zobaczyć ten pogrzeb,—duch, mieszkający w grobie obok mego, pamięta to dokładnie. Czy widzisz to indywiduum, które tam błądzi z deską pod pachą, bez kości goleniowej, bez śladu całunu na barkach? Jest to Barstow Dalhouse; po Columbie Jones on pogrzebion z takim przepychem, jakiego nigdy może nasz cmentarz nie oglądał. Właśnie wynosimy się wszyscy razem: nie możemy już dłużej ścierpieć tego obejścia się, jakiego doznajemy od naszych potomków. Zakładają nowe cmentarze, a nas pozostawiają w dawnym haniebnym położeniu. Naprawiają ulice, a nigdy nie naprawią tego, co nas dotyczy. Spójrz na moją trumnę! a jednak w swoim czasie był to sprzęt, mogący w każdym salonie tego miasta zwrócić na siebie uwagę. Mogę ci ją darować, jeśli chcesz: nie stać mnie na ten zbytek, abym mógł ją dać naprawić. Każ tylko dorobić nowe dno, większą część lewego boku, a będziesz miał tak dogodną skrzynię, jakiej nigdy w życiu nie miałeś. Tylko mi nie dziękuj, nie wspominaj mi nawet o tem; byłeś tak dla mnie uprzejmy, iż wolałbym ci dać wszystko, co tylko mogę nazwać moją własnością, niż okazać się niewdzięcznym. To

śmiertelne prześcieradło jest wprawdzie bardzo zniszczone, lecz jeśli ci się podoba.... Nie? — no, jak chcesz, lecz pragnąłbym chętnie okazać się szczodrym i wdzięcznym względem ciebie, — ale nie niemam takiego przy sobie. Z rozkazu Boga, mój przyjacielu, muszę już odejść. Dzisiejszej nocy muszę odbyć daleką drogę, dokąd — na pewno jeszcze naturalnie nie wiem. Dokładnie jednak wiem o tem, iż w tej wędrowce przyrzekłem sobie nie myśleć nawet o powrocie na stary ementarz. Będę odbywać moją wędrowkę, dopóki nie znajdę przyzwoitego mieszkania, choćby mi przyszło pójść de Neujoysey. Bardzo wielu mieszkańców zajętych jest obecnie wyprowadzaniem się. Wczoraj wieczorem na ogólnem zebraniu uradzono wędrowkę, i o wschodzie słońca nie można będzie znaleźć w starych mieszkaniach ani kosteczki. Podobne cmentarze mogą służyć dla tych, którzy jeszcze zostali przy życiu, lecz nie dla nas, zmarłych szczątków, które mają zaszczyt robić te uwagi. Zamiar mój jest zamiarem ogólnym. Jeżeli nie wierzysz, idź i przekonaj się, jak wyprowadzające się duchy przed swoim wyruszeniem obalają wszystkie przedmioty. Objawy ich niezadowolenia mają rewolucyjny charakter.... Czekaj, oto tam niektórzy z Bledsoesów! jeżeli zechcesz mi pomódz w podniesieniu tego nagrobka, przyłączę się do ich towarzystwa i podążę razem z nimi — bardzo godna rodzina ci Bledsoes; mieli zwyczaj udawać się na miejsce wiecznego spoczynku sześciokonnym, a nawet okazalszym karawanem; wtedy ja przed pięćdziesięciu laty przecha-

działem się po tych ulicach.... Bywaj zdrów, przyjacielu!"

I ze swym nagrobkiem na barkach przyłączył się do przerażającego orszaku, wlokąc za sobą swą zniszczoną trumnę; chociaż bowiem z całym pospiechem pragnął mi ją ofiarować, ociągałem się jednak z przyjęciem tego gościnnego pomieszkania.

Zdaje mi się, iż blisko dwie godziny trwała wędrowka tych biednych wygnanych szkieletów, obladowanych odrażającami pogrzebowemi przyrządami, przez cały ten czas zostawałem na miejscu i litowałem się nad nimi. Dwaj czy trzej, najmłodszy pomiędzy nimi i najmniej dotknięci zgnilizną, rozpytywali się o północne pociągi kolei żelaznej, inni wszakże, mniej obeznani z tym sposobem podróŜowania, pytali się tylko o zwykłe bite gościńce do różnych miast i miasteczek, z których wiele już nie istnieje na mapie: znikły z niej, jak i z powierzchni ziemi, już przed trzydziestu laty; nawet niektóre istniały tylko na mapach i to na mapach pewnych prywatnych agentur niemieckich. Pytali się również o cmentarze w tych miastach i miasteczkach, i o opinię, jaką cieszyli się tamtejsi obywatele w kwestyi dotyczącej szacunku dla zmarłych.

Całe to zdarzenie niezwykle mnie zainteresowało, a nawet wzbudziło współczucie dla tych tułaczych istot. Ponieważ to wszystko zdawało się być rzeczywistością, i nie wiedziałem, iż było tylko snem, powziąłem względem tych wędrowców w śmiertelnych całunach pewien plan, który mi przyszedł do

głowy, a mianowicie rozpowszechnić wiadomość o tej niezwyklej i smutnej wędrowce; jednocześnie jednak zauważyłem, iżbym nie mógł tej wiadomości przedstawić tak dokładnie i prawdziwie, jak ją znalazłem, bez wzbudzenia podejrzeń, jakobym sobie żartował z poważnego przedmiotu i profanował umarłych, co dla ich żyjących przyjaciół mogłoby być smutnem i bolesnem. Jednak ten grzeczny i dostojny szczątek dawnego obywatela oparł się o bramę mojego ogrodu i szepnął do ucha:

„Nie uważaj na to. Gmina, która może znosić podobne cmentarze, jak te, z których my się wyprowadzamy, jest w stanie znieść wszystko, co ktokolwiek powie o zaniedbanych i opuszczonych zmarłych, którzy na nich spoczywają”.

W tej właśnie chwili zapał kur, i znikł cały orszak, nie pozostawiając po sobie żadnej kości, żadnego łachmana. Przebudziłem się i spostrzegłem, że byłem w łóżku, moja zaś głowa była bardzo zwieszona — pozycya, sprzyjająca snom moralnym, lecz usuwająca wszelkie sny poetyczne.

ZAKOŃCZENIE.

Czytelnik niech będzie pewnym, że jeżeli cmentarze w jego parafii znajdują się w dobrym stanie, w takim razie sen powyższy nie stosuje się do jego miasta, ale w sposób bardzo złośliwy może być zastosowany do innego miasta.

Szczególne przyzwyczajenia braci Siamskich.

Mam zamiar opisać nie tylko osobiste przyzwyczajenia tych rzadkich stworzeń, lecz również przedstawić niektóre dziwaczne szczegóły rozmaitego rodzaju; a ponieważ przyzwyczajenia te stosują się tylko do ich życia prywatnego, nikt przeto jeszcze o nich nie pisał. Znając dokładnie te bliźnięta, czuję, że wywiążę się dobrze z zadania, jakie przedsięwziąłem.

Bracia Siamscy są z natury łagodnego i uprzejmego usposobienia i dotrzymywali sobie rzadkiej wierności przez cały czas swego długiego i pełnego przygód życia. Już jako dzieci byli nieodłącznymi towarzyszami, i zauważano, że wzajemne swoje towarzystwo przekładali nad towarzystwo wszystkich innych ludzi. Prawie zawsze bawili się z sobą; matka ich do tego stopnia przyzwyczała się do tej bliskości, że jeżeli ich obydwóch nie było w domu, zwykle szukała tylko jednego z nich, w tem przekonaniu, że jeśli znajdzie jednego, drugi bezwzględnie znajdować się musi w jego bliskości.

Przytem obaj bracia byli nieświadomi, niewykształceni — sami barbarzyńcy i potomkowie barbarzyńców — nic nie wiedzieli o prawdziwym świetle filozofii i nauki. Jakiż to olbrzymi zarzut przeciwko

naszej sławionej cywilizacji z jej swarami, chęcią ku zwadom i nienawiścią braterską.

Jako mężczyźni nie zawsze ci bracia żyli z sobą w zupełnej zgodzie. Jednak istniał między nimi związek, na podstawie którego nie mogli się rozdzielać, lub mieszkać oddzielnie. Mieli nawet, co jest zresztą zrozumiałem, wspólne mieszkanie, a utrzymują iż od chwili urodzenia nie przespalili żadnej nocy oddzielnie. Jakże to jest wielką prawdą, że przyzwyczajenie całego życia staje się dla nas drugą naturą! Bliźnięta kładą się spać jednocześnie, lecz Czang wstaje zwykle o godzinę wcześniej od brata. Na podstawie wzajemnej umowy Czang załatwia wszystkie sprawy domowe, podczas gdy Eng zajmuje się przechadzkami. Podobny podział pracy pochodzi stąd, że Eng lubi przechadzki. Za to przyzwyczajenia Czanga są więcej natury sedentarnej. Wszelako Czang ma zawsze towarzysza. Eng jest anabaptystą, Czang katolikiem. Z tem wszystkim Czang obiecał bratu, iż ochrzci się z nim powtórnie, pod warunkiem jednakże iż to „nie będzie miało znaczenia”.

W czasie wojny byli zapalonymi stronnikami wrogich sobie partji i obadwaj zawzięcie walczyli podczas tej całej wojny. Eng trzymał stronę Unii, a Czang—konfederacji. Pod Seven-Daks wzięli jeden drugiego do niewoli, dowody jednak tego były pod każdym względem dla każdego z nich jednakowe; tak że musiano zwołać ogólny sąd wojenny dla rozstrzygnięcia, który z nich mianowicie jest niewolnikiem. Sąd przez długi czas nie mógł się zgodzić; wreszcie

ta drażliwa kwestya rozstrzygnięta została w ten sposób, iż uradzono obydwóch ich uważać za niewolników i potem wymienić.

Pewnego razu Czang za nieposłuszeństwo względem jakiegoś rozporządzenia został skazany na dzień dni aresztu; Eng pomimo wszelkich przeciwnych argumentów czuł się obowiązany dotrzymać bratu towarzystwa podczas tego aresztu, chociaż sam był zupełnie niewinny; aby więc niewinnego brata nie karać bez przyczyny, musiano obydwóch wypuścić z więzienia — oto sprawiedliwa nagroda wierności.

Razu pewnego, z powodu drobnej jakiejś sprzeczki obaj bracia pobrali się za łby i Czang obalił Enga; potknął się jednakże, upadł na niego i obaj schwycając się wzajemnie poczęli się okładać i dusić bez miłosierdzia. Obecni napróżno łamali sobie głowę, aby ich rozdzielić; lecz nie znaleźli na to sposobu i musieli im dozwolić dokończyć sprzeczki. Ostatecznie obaj byli mocno osłabieni, i zaniesiono ich do szpitala na jednej okiennicy.

Dawne przyzwyczajenie chodzenia zawsze i wszędzie razem miało swoje skutki wtedy, gdy bracia, doszedłszy pełnoletności, dozwolili sobie zbytku strojenia koperczaków. Obaj zakochali się w jednej dziewczynie. Każdy z nich starał się porozumieć z nią osobno na ustroniu, lecz to słodkie sam na sam przerywał zaraz drugi. Wkrótce jednak Eng z rozpaczą dostrzegł, iż Czang zdołał pozyskać wzajemność dziewczyny; od tej chwili z bólem serca musiał być świadkiem wszystkich szczebiotów i czułych zwierzeń. Lecz z wspaniałomyślnością, przyno-

zając mu nieskończony zaszczyt, godził się z swoim położeniem, wspierał nawet i zagrzewał miłość brata, która mu rozdzierała serce. Codziennie siedział przy nich od siódmej wieczorem do drugiej rano i przysłuchiwał się całym niedorzecznościom dwójga zakochanych i echu tysięcy pocałunków, udzielanych wzajemnie dość obficie, podczas gdy on za możliwość uczestniczenia choć w jednym uścisku oddałby prawą rękę. Lecz siedział cierpliwie, czekał, poziewał, kręcił się i wdychał do upragnionej drugiej godziny. Obok tego odbywał długie spacery przy blasku księżyca, dochodzące niekiedy do dziesięciu mil, chociaż zazwyczaj cierpiał na reumatyzm.

Był namiętym palaczem tytoniu, w podobnych jednak okolicznościach musiał sobie odmawiać tej przyjemności, ponieważ młoda narzeczona nie mogła znieść dymu. Z duszy serca pragnął, aby się już połączyli, i aby się ta historia raz przecie skończyła; a chociaż Czang dosyć często wznawiał tę kwestyę, pannie jednak brakło odwagi odpowiedzieć na to w obecności Enga. Wreszcie pewnego razu Eng, w skutek odbytego szesnastomilowego spaceru i siedzenia prawie do białego ranka wycieńczony, osłabiony wpadł w głęboki sen, — wtedy kwestya ta została wznowioną i rozwiązaną. Kochankowie połączyli się. Wszyscy bliżej wtajemniczeni w te stosunki, uwielbiali wspaniałość szlachetnego szwagra; jego niewzruszona wierność była na ustach u wszystkich.

Eng znosił z rezygnacją ich stosunki jeszcze jako narzeczonych; gdy się wreszcie połączyli, wznioł

ręce nad ich głowami, mówiąc: „Niech was Bóg błogosławi, moje dzieci, ja was nigdy nie opuszczę!” I dotrzymał słowa. Zaprawdę, podobna wspaniałość rzadką jest w dzisiejszym zimnym świecie.

Wkrótce zakochał się Eng w siostrze swojej bratowej, ożenił się z nią i od tej chwili żyli wszyscy razem we dnie i w nocy w przykładnej zgodzie bardzo pięknej i wzruszającej, która zawiera w sobie niszczący zarzut przeciwko naszej cywilizacyi.

Wzajemna sympatya tych braci jest tak wielką i tak szlachetną, iż uczucia, skłonności i poruszenia jednego odbijają się jednocześnie w drugim. Jeden zachoruje, drugi podąży w jego ślady; jeden doznaje bólu, doznaje go także i drugi; jeden się gniewa — wnet gniew przechodzi na drugiego. Widzieliśmy niedawno, z jaką łatwością zakochali się obadwaj w jednej dziewczynie. Jednakże Czang jest z zasady nieubłagany wrogiem wszelkiego nieumiarkowania, Eng znowu przeciwnie, — albowiem chociaż uczucie i poruszenia tych dwu ludzi są ściśle z sobą związane, zdolności ich umysłowe nie ulegają temu losowi — ich *mysli* są niezależne. Czang należy do towarzystwa wstrzemięźliwości Templaryuszów i wspiera z zapalem wszelkie umiarkowanie; lecz ku jego wielkiemu zmartwieniu Eng upija się co chwila i Czang mimowoli musi łamać swoje zasady.

Ten nieszczęśliwy stan jest dla Czanga przedmiotem wielkiej boleści, gdyż tym sposobem pożyteczna jego działalność na ulubionem polu jego usiłowań obraca się w niwecz. Skoro tylko pragnie stanąć na czele procesyi towarzystwa wstrzemięźliwo-

ści, staje także Eng punktualny jak zegarek a pijany jak lord, wszakże nie mniej, jak jego brat, chociaż ten ostatni nie miał w ustach ani kropli. Wtedy obydwaj zaczynają wydawać okropne wrzaski i wycia i obrzucać pocziwych Templaryuszów błotem i kamieniami, w skutek czego naturalnie procesya ustaje. Byłoby krzyczącą niesprawiedliwością karać Czanga za to w czem Eng przewinił, i dla tego pocziwi Templaryusze nie zwracają uwagi na to przykre położenie i znoszą w milczeniu podobne wypadki. Rzecz ta była dokładnie zbadaną na drodze urzędowej, a Czang wyszedł bez grzechu i błędu. Napełniali nawet Czanga letnią wodą z cukrem, a Enga wódką, lecz po dwudziestu pięciu minutach niepodobna było rozróżnić, który z nich jest bardziej pijany. Obaj byli pijani jak bele i to od gorącej wódki, którą można było poznać po zapachu, wychodzącym z ich ust. A jednak przez cały czas zasady obyczajowe Czanga były nieskalane, jego sumienie czyste, i wszyscy musieli mu to przyznać, iż był pijanym nie moralnie, lecz fizycznie. Podług wszelkich praw i dowodów moralnych ten człowiek był zupełnie trzeźwy, i dla tego wszyscy jego przyjaciele mocno nad tem boleli, gdy on witał się z pompą, lub też starał się nakręcić swój zegarek zwyczajnym kluczem.

W tej uroczystej przestrodze zawiera się sens moralny, lub co najmniej — w tym uroczystym sensie moralnym jest pewna przestroga; w każdym razie jedno, albo drugie. Mniejsza o to, nie zważajmy na to, lecz starajmy się z tego korzystać.

Mógłbym jeszcze więcej szczegółów bardzo budującej treści opowiedzieć o tych ciekawych stworzeniach, wszakże zadowolnijmy się tem, co już napisałem.

Ale, ale — ponieważ z początku zapomniałem wspomnieć o ich wieku, chętnie naprawiam mój błąd, dodając, iż jeden z tych Siamskich braci zaczął rok pięćdziesiąty pierwszy, drugi zaś skończył pięćdziesiąt lat.

K O N I E C .